Wpisano do Ewidencji Prasy
19 Rejonowej
Dn. 8.I 60

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok III. ŁÓDŹ, 10 stycznia 1960 r.

Nr 1 (97) Cena 1 zł

*Z okazji Nowego Roku najlepsze życzenia Czytelnikom naszego pisma*

*składa*
*Redakcja „Odgłosów"*

ZBIGNIEW NIENACKI

# TYSIĄC i znacznie więcej

Czy to rzeczywiście aż tak ważne, ile stuleci liczy sobie Polska?

W szkole uczono nas, że historia Polski zaczyna się od roku 966, gdy Mieszko I zdecydował się przyjąć chrześcijaństwo i wraz z krajem, którym władał — wszedł do obozu narodów chrześcijańskich. Dziś wiemy — dzięki badaniom archeologów i historyków — że państwo polskie istniało jeszcze przed aktem przyjęcia nowej wiary w jedynego Boga, ba, musiało to być państwo o niezwykle silnym organizmie, skoro zdolne było wprowadzić u siebie nową religię, dokonać wprost niezwykłego wstrząsu, a jednak nie zachwiać się i nie rozpaść.

Państwo polskie ma więc ponad 1.000 lat. Obchodzimy uroczyście Tysiąclecie. Odmieniamy ten „tysiąc" we wszystkich przypadkach, choć to przecież nie „tysiąc", tylko znacznie więcej i choć na całym świecie nie ma nikogo, kto chciałby nam odmówić prawa do owego „tysiąclecia". Odmawia się nam jednak kilku innych o wiele bardziej zasadniczej natury spraw — lecz o tym u nas jak najciszej.

Tysiąclecie naszego państwa — powiadam — nie budzi niczyich wątpliwości. Przeciwnicy nasi kiwają zgodnie głowami: tak, tysiąc lat. Tysiąc lat to ostatecznie bardzo mało. A co było przedtem?

I dodają: cóż z tego, że obchodzicie Tysiąclecie swego państwa, skoro na ziemiach, które obejmowało to państwo zjawiliście się dopiero w VIII wieku. Jesteście na swych ziemiach niedawnymi mieszkańcami, żyjecie na nich zaledwie 1.200 do 1.300 lat. Co łaskawsi skłonni są mniemać, że na ziemiach uważanych za rdzennie polskie Słowianie zjawili się aż w VI wieku naszej ery. Kto mieszkał tu przed nimi? Oczywiście — Germanie, Burgundowie, Bastarnowie, Wandalowie, Goci.

Po okresie „wędrówek ludów", między IV i VI wiekiem ziemie nasze pustoszeją. Archeologowie znajdują z tych czasów bardzo niewiele śladów pobytu człowieka. Już od VI wieku na powrót wzrasta ilość osad ludzkich i cmentarzysk, które trwają aż do czasów historycznych, aż do chwili powstania polskiego państwa. Nawet dla naszych przeciwników nie ulega wątpliwości, że w osadach powstałych już w VI, VII i VIII wieku mieszkali przodkowie tych ludzi, co zbudowali państwo polskie, a więc Słowian. Ale kto mieszkał tutaj przedtem? Przedtem, nim nastąpiła ta dwieście lat panująca pustka? Kto mieszkał na ziemiach dzisiejszej Polski przed okresem „wędrówek ludów"?

Niektórzy uczeni na Zachodzie, szczególnie w Niemczech Zachodnich uważają,

Dokończenie na str. 5

# proponują:

Propozycje przedstawia
ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

Łódź najbardziej spośród wszystkich innych miast jest miastem kobiet. Nie chodzi tu o większą niż gdzie indziej ich ilość w stosunku do płci męskiej. Łódź, dzięki swej włókienniczej specyfice jest jedynym miastem, gdzie kobiety bardziej niż mężczyźni ważą w produkcji. I nie wiele jest problemów w Polsce tak bolesnych, tak ciążących i przytłaczających obserwatora, jak sprawy łódzkich kobiet.

Zresztą komu tu o tym mówić? Wam, którzy dziesięć razy dziennie przechodzicie ulicami starych, czynszowych kamienic nadmiernie zagęszczonych, albo drewnianych, stuletnich domków pozbawionych urządzeń cywilizacyjnych, tak elementarnych jak woda, gaz, kanalizacja? Czy Wam, którzy w tych przeważnie jednoizbowych klitkach się ciśniecie? A może Wam, którzy codziennie stoicie w tłumie kobiet, w tramwaju, gdy zdążają one do pracy, albo gdy (co stanowi widok stokroć przykrzejszy) z pracy wracają?

Wszelkie opisywanie takich rzeczy łodzianom brzmi jak stara, zdarta i irytująca płyta.

Jest hala fabryczna, zatłoczony tramwaj, izba mieszkalna, mąż, są dzieci, garnki i problem co do garnka włożyć, są nie najbliżej położone i nie najlepiej zaopatrzone sklepy. I to właśnie czyni, ze snem włącznie dwadzieścia cztery godziny, czyli tak zwane życie.

Jest upośledzenie życiowe kobiety łódzkiej, dziecinnej i pracującej, wyrażające się 17 godzinami pracy na dobę. Jak bowiem wykazali naukowcy, same gospodarskie zajęcia domowe pochłaniają przeciętnie 6 godzin i 21 minut dziennie. Dodawszy 8 godzin pracy zawodowej, plus dojazdy i czas na zakupy otrzymujemy właśnie owe 17 godzin. Jest więc kulturalne upośledzenie kobiet łódzkich, i odgrodzenie ich od zdobyczy modelujących współczesny styl życia, jak kino, teatr i wszelka rozrywka. Bo nawet gdyby chciały z nich korzystać, to kiedy?

Jest też zjawisko stwierdzone przez socjologów: niepokojąco niski poziom wykształcenia wśród kobiet pracujących w zawodach robotniczych i groźba wtórnego analfabetyzmu. Mówiąc konkretniej: aż 8,1 procent kobiet nie uczęszczało w ogóle do szkoły i aż 31,7 procent ma niepełne podstawowe wykształcenie. Jest więc olbrzymi, trudny problem kobiecej oświaty podstawowej.

Nie leży w moich zamiarach ani naturze, by epatować Czytelników drastycznymi opisami, wzruszać się lub innych rozczulać. Łódzka kwestia kobieca, gordyjski węzeł trudności ich życia i pracy — nie jest rozwiązywalny ani w dzień ani w pięć lat. Przynajmniej jest, za rozwiązanie przyjmiemy prostą a niewątpliwą formułę: „zbudować nowe miasto — zdwoić zarobki".

Realnie można dodawać pojedyncze domy i pojedyncze metry bieżące rur wodnych, kanalizacyjnych i gazowych. I do tych domów wprowadzać rodziny robotnicze. Realnie można dodawać pojedyncze złotówki i to w zależności od wzrostu wydajności pracy, to znaczy w zamian za dodatkowe metry tkanin. Realnie można wypuszczać na rynek pojedyncze pralki i inne narzędzia mechanizujące „babską robotę" i otwierać nowe, blisko położone i dobrze zaopatrzone sklepy. To znaczy można niewiele i powoli. Bo cudów nie ma i rzeczywiście „z próżnego i Salomon nie naleje". Więc w kwestii radykalnego, a doraźnego „od ręki" i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki uszczęśliwienia łódzkich kobiet nie ma o czym mówić. Ani kogo i o co dopingować.

Myślę jednak, że można podjąć działania cząstkowe dla uczłowieczenia ich życia. Działania w sferze spraw wybiegających spoza kręgu garnka i czterech zwilgotniałych ścian i to za cenę przystępną dla państwowo-społecznej kiesy. Celem takich działań i warunkiem tego uczłowieczenia byłoby zmniejszenie owych blisko 7 godzin „babskiej roboty" przy garnkach, dzieciach i balii, wygospodarowanie czasu na wypoczynek i rozrywkę kulturalną. Możliwe są te działania w oparciu o wciąż silną — jak mniemam — w środowisku robotniczym więź sąsiedzka. Myślę tu o organizowaniu samopomocy w formie na przykład wspólnego nabywania i użytkowania pralek albo — czemu nie — i odkurzaczy. Pani Malinowska zmawia się z Kwiatkowską i z Kowalską, tamte agitują jeszcze Nowakową, potem wszystkie cztery wiercą dziurę w brzuchu mężom, po czym zakupują wspólnie samopiorącą maszynę. Przy możliwości rozłożenia wydatku na raty inwestycja jest możliwa i nie [illegible]

Dalej panie Malinowska, Kwiatkowska, Kowalska i Nowakowa zmawiają się, że danego dnia, powiedzmy w sobotę, pani Nowakowa zostaje w domu, pozostałe panie podrzucają jej swoje dzieci, po czym idą do kina lub teatru. Oczywiście z mężami, choć niekoniecznie. Oczywiście, w następną sobotę dyżuruje przy dzieciach inna pani, a kulturalno-oświatowy w zakładzie proponuje i załatwia bilety.

Pojmuję tę ideę samopomocy sąsiedzkiej szeroko jako opiekę nad dziećmi kilkoma na raz, urządzanie wspólnych pralni, jako wzajemne usługi przy generalnych sprzątaniach i malowaniach, jako instytucję „zastępstw domowych", ułatwiających wyjście do miasta po zakupy lub w celu „rozerwania się" czy nawet umożliwiających wyjazd na wczasy.

Tak pojęta samopomoc sąsiedzka ma sens i szanse powodzenia, ponieważ tkwi w tradycji społeczności robotniczej. Mniemam, iż odrodzi się i zorganizuje na nowo samorzutnie, o ile otoczy ją klimat uznania społecznego, poparcia moralnego ze strony instytucji takich jak komitety domowe i blokowe (nie mówiąc już o Lidze Kobiet) oraz poparcia materialnego czy administracyjnego ze strony instytucji państwowych.

Może jestem niepoprawnym optymistą i skończonym utopistą, ale wierzę, że skoro istnieje potrzeba odciążenia zaharowanych dniem i nocą kobiet, to idea samopomocy sąsiedzkiej jest

Dokończenie na str. 2

# „ODGŁOSY" PROPONUJĄ...

(Dokończenie ze str. 1)

do urzeczywistnienia. Czemu miałaby być nierealna, skoro ludzie biorą się do kupy i budują np. nawierzchnię drogi? Skoro słyszę, że w paru miejscach taki samopomocowy ruch się zaczął. Tedy wierzę, że idea samopomocy i w dziedzinie uciążliwych prac domowych odpowiednio propagowana w prasie i radio rozwinie się i „chwyci". Pod warunkiem, że urzeczywistnienie jej nie zacznie się od ustanawiania etatów i centralnych narządów i że udział władz i organizacji będzie tu polegał na stwarzaniu klimatu pomocy, życzliwości i zrozumienia dla każdej formy takiego samopomocowego ruchu. Ów ciepły klimat rozumiem, na przykład jako nacisk na handel nie tylko w tym kierunku, żeby sprowadzał do Łodzi więcej pralek, ale by ich dystrybucję nacelował na klientki najbardziej potrzebujące to znaczy pracujące robotnice. Rozumiem dalej ów ciepły klimat jako, na przykład, próbę ustanowienia nowej formy umów zawieranych w ośrodkach sprzedaży ratalnej. Konkretnie wyobrażam to sobie tak: przyjdą panie Malinowska i Kwiatkowska do biura ORS i oświadczą, że wspólnie z jeszcze jedną lub dwoma sąsiadkami chcą kupić na raty pralkę, to ORS pójdzie takiej „spółce" na rękę i wystawi weksel nie na jedną osobę, lecz na kilku „wspólników". Pójdą potem panie Malinowska i Kwiatkowska do kierownika sklepu z pralkami i pokażą taką spółkową umowę, to kierownik będzie miał moralny obowiązek tę pralkę im wydębić.

Można im ten zakup ułatwić również przez asygnowanie sumy z zakładowej kasy zapomogowo-pożyczkowej. Tym ostatnim sposobem, w którym kasa zaświadcza cel pożyczki — można będzie uniknąć jak zawsze i wszędzie, możliwej lipy.

Obok tak wspieranej przez państwowo-społeczną kiesę tradycyjnej formy samopomocy sąsiedzkiej, możliwe i celowe jest odradzanie równie tradycyjnego zwyczaju „chałupek". Pamiętacie, jak nasze mamy i babcie znikały czasem na parę godzin z domu, a ojcowie lub dziadkowie komentowali złośliwie, że ich panie poszły „na chałupki" albo „na ploteczki". Ta namiastka społecznego i kulturalnego życia kobiet, polegając rzeczywiście na plotkowaniu, ale i na odrywaniu się na moment od garów i podglądaniu życia sąsiedzkich domów i ulic, zachowała się, przynajmniej w wielkich miastach, już tylko w formie szczątkowej. Wielkomiejskość atomizuje społeczeństwo, mówiąc prościej — odgradza od siebie ludzi. Dziś mieszkamy w nowym bloku i nie znamy swoich najbliższych sąsiadów, współlokatorów z tej samej klatki. Co gorsze, znać ich nie chcemy. Nie obchodzi nas, czy mają kłopoty i jak im się wiedzie. Zasklepiamy się we własnych murach jak w twierdzy i smażymy się we własnym sosie. Człowiek człowiekowi stał się obcy, a człowiek, który doznaje niepowodzeń i dla którego bezcenne jest chociażby dobre słowo — czuje się potwornie osamotniony. Te zjawiska wynikają po części z tempa współczesnego życia i zmęczenia psychicznego, jakie ono niesie. Są to zjawiska paradoksalne w społeczeństwie budującym socjalizm, mającym ludzi do siebie zbliżyć. Widząc je, nie można się z nimi godzić.

Otóż na zasadzie wypieranego przez współczesność zwyczaju „chałupek" i gwoli scalenia zatomizowanej społeczności kobiecej, i nie tylko kobiecej, zmniejszenia panującego poczucia zatracenia się jednostki i osamotnienia, można by urządzać w adoptowanych gospodarskim sposobem pomieszczeniach ni to świetlice, ni to salony (mniejsza o nazwę), użytkowane przez cały dom, bądź kilka małych domków, Kameralne, schludne, domatorskie pokoje z pismami kobiecymi, krzesełkami do posiedzenia i pogadania przy robótkach ręcznych, z kursami kroju i szycia, z pogadankami od czasu do czasu wysłanniczek poradni „K" czy Tow. Świadomego Macierzyństwa, z innymi rzeczami interesującymi ród niewieści oraz koniecznie z telewizorami.

A propos. Opowiadano mi, że w jednej miejscowości pod warszawskiej pewien facet wpadł na pomysł dobrego interesu. Kupił sobie telewizor. Zainstalowawszy go sprosił kumotrów i sąsiadów. Ludzie przyszli hurmem, po czym co dzień walili jak w dym. Skoro tylko skosztowali, jaką frajdę daje telewizor, pan właściciel i gospodarz wyznaczył opłatę za wstęp, po 10 złotych od łebka. Nie zraziło to ludzi, przychodzili i płacili. Ktoś napisał jednak donos na milicję. Milicja zrobiła doniesienie, prokurator akt oskarżenia i doszło do rozprawy przed sądem. Sąd nie dopatrzył się przestępstwa i umorzył sprawę.

Podobną, acz nie prywatną, bo społeczną inicjatywę z telewizorem opisaliśmy już w „Odgłosach". Łódzcy uprawiacze ogródków działkowych wspólnie zakupili telewizor i założyli pierwszy klub telewizyjny w Polsce.

Nie bez kozery piszę o tym. Telewizor oznacza rewolucję życiową. Otwiera okno na świat. Informuje, uczy, bawi. Przynajmniej powinien tak czynić. Jako taki oznacza instrument uczłowieczenia życia kobiet. Zaś przykłady zbiorowego użytkowania telewizora dowodzą, że primo: ludzie stosują samopomoc w dziedzinie organizacji życia kulturalnego, tedy moje uwagi na ten temat nie są czystym marzeniem; secundo: ludziom wystarczy, że patrzą na telewizor i nie muszą wcale go od razu mieć na prywatną własność; ergo: jeden telewizor może zakupić kilka rodzin. Dla 5—6 rodzin koszt jego dzieli się po około 800 zł, które z kolei można rozłożyć na raty. Na pomoc znów przywołać można Ośrodek Sprzedaży Ratalnej i kasę zapomogowo-pożyczkową. Zakłady też by mogły ponieść jakąś dolę. Stać je, jak tego dowodzi autentyczny fakt, na opłacanie 600 złotymi człowieka do kręcenia telewizorem, to stać je równie na pomoc w urządzaniu dla swoich robotnic salonów z telewizorami.

Są tedy możliwości wygospodarowania — dzięki zastosowaniu samopomocy — czasu wolnego od garów, męża, dzieci itd. Są także możliwości zagospodarowania tego czasu w sposób dający trochę wielkich i małych radości, jakich życie może już w Polsce wszystkim dostarczyć.

Rzecz leży tu nie w milionach złotych, tylko w dobrej woli ludzi — mieszkańców dzielnic robotniczych Łodzi, garstki społeczników i pomocy fabryk tudzież wszelkich władz.

Nie skończę wnioskiem „uaktywnić Ligę Kobiet". Są to działania ponad wątłe siły aktywistek tej organizacji. Są one też na miarę celów i założeń innych organizacji, a przede wszystkim związków zawodowych. A Liga Kobiet jest od tego, by w kwestii uczłowieczenia życia istot, od których nazwę swoją wzięła, mieć koncepcję i rej wodzić. Dlatego propozycje swoje dedykuję Lidze Kobiet.

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

*Nasza szkółka*

# KAŻDEMU TO, CO... SOBIE ZAPLANUJE

W noc sylwestrową, o godzinie 12 ściskałem, jak i każdy z Was dziesiątki rąk. Właściciele tych rąk mówili mi: „Wszystkiego dobrego", „szczęścia", „pomyślności". Ja mówiłem to samo.

Jest to pewna forma konwencjonalna życzeń, które nic nie znaczą a są tylko wyrazem naszej ku bliźnim przychylności i vice versa.

W trakcie odbywania ceremoniału pomyślałem sobie, iż pewnej liczbie ludzi szczególnie bliskich wypadałoby życzenia jakoś skonkretyzować. Co prawda, jeśli przyjacielowi życzyć będę, na przykład, nabycia samochodu, moje życzenia nie przysporzą mu pieniędzy na nabycie wozu, ale przynajmniej zadokumentuję, iż znam jego pragnienia, „odmechanicznię" życzeniowy rytuał, zrobię mu przyjemność, że chociaż w wyobraźni ujrzy się siedzącym we własnym wozie.

Rychło jednak spostrzegłem, że niewielu jest ludzi, nawet spośród najbliższych, którym mógłbym życzyć konkretu, takiego, jakiego oni sami sobie życzą. A kiedy przepijając do lustra sam sobie składałem życzenia, też nie bardzo wiedziałem, czego życzyć w sylwestrową noc tej najdroższej spośród drogich mi osób.

Jeśli stawaliście przed lustrem, by tak jak ja samemu sobie życzyć, tu z pełną szczerością, wszystkiego najlepszego, zapewne wielu z Was nie potrafiło wymienić, co uważa dla siebie za najlepsze. Ewentualnie jaka konkretyzacja rzeczy najlepszych i pojęcia szczęścia ma szanse stania się ciałem akurat w roku 1960.

Bardzo to dziwne i niewytłomaczalne, ale u nas ludzie, którzy z ołówkiem w ręku siadają i planują sobie dokonania na rok przyszły, stanowią curiosum tak rzadkie, iż właściwie godne pokazywania w cyrku.

Żyjemy w ustroju, w którym władcą jest plan. Od piętnastu lat z góry zakłada się u nas ogólnokrajowe dokonania na rok przyszły i nadchodzące pięciolecie. Z góry przewiduje się wszystko, co naród ma dokonać i może dokonać, aby wyszło mu to na dobre. I ciekawe, iż nawyk planowania nie przyjął się u poszczególnych ludzi. Mało tego, wydaje się, iż w krajach, gdzie zjawiska ogólne nie są objęte planem, prywatni ludzie o wiele bardziej planują niż u nas. Mało tego, że w Polsce samo istnienie planowej gospodarki, planu narodowego organizującego w jakimś sensie wszystkie dziedziny życia, przyjmowane jest przez pojedynczych ludzi jako czynnik zwalniający od osobistego planowania. Obywatelstwo polskie traktowane jest jak przynależność do organizacji, która zajmuje się układaniem kształtu życia i rozwoju społeczeństwa, a więc wszystkich jego członków. To, co nas w życiu spotyka, traktujemy, jako pochodne procesów ogólnych. Uważamy, że „nam planują życie". Plan indywidualny nie ma więc sensu, lub też ma sens tylko wówczas, kiedy jest aktem przeciwstawiania się założeniom społecznego rozwoju. To znaczy, aferzysta gospodarczy planuje swoje zyski i system ich osiągania, gdyż tych wartości sejm nie uchwala. Natomiast lojalny urzędnik nie planuje. Uznaje bowiem, że jego osobista podwyżka zależna jest od przewidywania lub nie przewidywania ogólnej podwyżki w resorcie, w którym okupuje biurko, że pochodną tego faktu jest to, czy nabędzie czy nie nabędzie lodówkę, ewentualnie na tym fakcie zaważy wzrost czy spadek produkcji i importu urządzeń chłodniczych. I tak we wszystkich sprawach.

Abym był dobrze zrozumiany. Nie uważam, iż planowość państwowa tworzy bezplanowość prywatną. Ta ostatnia ma źródła w wielu społecznych nawykach korzeniami tkwiących w niknącym zresztą zjawisku poczucia niestabilności. Zjawisku mającym dosyć oczywiste podłoże historyczne. Nie wiem, czy jest kraj na świecie, gdzie każdy powiadając, że w przyszłym roku kupi kilo gruszek, dodaje — „jeśli dożyję". W życiu ludzkim raczej stosuje się roboczą hipotezę nieśmiertelności.

Jest wszakże faktem, iż bezplanowość w życiu jednostki odbija się ujemnie na efektywności planowego rozwoju społecznego. Znamy to zjawisko pod nazwą „dojutrkiewiczostwa". Oczywiście, ludzie ściśle wiedzący, czego chcą dla siebie, co mogą zdziałać, postanawiający z góry to i tamto zrobić, stanowiliby o wiele lepszy surowiec planu ogólnego. Ale nie ten punkt widzenia lekarzy „schorzeń społecznych" Polaków jest najistotniejszy.

Właściwością każdego człowieka jest pragnienie, aby jego życie miało sens. Owa sensowność, nie obejmująca zresztą zasadniczych pytań filozofii, ale potoczna, jest jednym z elementów szczęścia. Fakt, że czegoś określonego chcemy, że postanawiamy to i owo w jakimś czasie uzyskać, że myślimy nad metodami prowadzącymi do ustalonego celu, następnie zaś w jakimś określonym czasie zabiegi nasze wcielamy w życie i ewentualnie osiągamy pożądane dobro — ten cały cykl i proces jest źródłem radości samej w sobie, niezależnej od zadowolenia z faktu, iż osiągnęliśmy jakąś upragnioną wartość — czy jest nią lodówka czy też znajomość obcego języka.

Nadchodzący rok, jako pojęcie czasu, w którym czekają nas określone zabiegi i dokonania — jest pojęciem milszym stokroć niż rok, który jest pustym czasem, mogącym coś przynieść, ale mogącym nic nie przynieść, czasem, w którym dziać się będą rzeczy niezależne od naszej woli, wobec których z góry przyjmujemy postawę bierną, czasem od którego oczekujemy wszystkiego i nic; okresem czasu niczym nie różniącym się od jego poprzedzających i następujących odpowiedników.

Postawa takiej wobec czasu bierności już sama w sobie nastraja wobec życia melancholijnie i zaprawia je poczuciem beznadziejności, choćby się w owym czasie, w sensie ogólnonarodowym działy rzeczy jak najlepsze i jak najradośniejsze, których cząstki każdy przecie i tak konsumuje.

Ale postawa taka prowadzi do oczywistych życiowych porażek, do niedokonań. Te zaś ugruntowują jeszcze psychiczną postawę bierności. Oto mechanizm wyrzucający wokół nas ciągle takie mrowie ludzi okiapłych i zgaszonych, ludzi siedzących nie wiadomo dla czego na marginesie życia.

Czy aby nie propaguję tu upiornej wizji faceta, który zasiada w Nowy Rok nad poliniowanym zeszytem i planuje: zwiększyć zarobki o zł X, metodami a, b, c, kupić telewizor i pralkę, powiększyć mieszkanie o jeden pokój, zdobyć serce Kasi N, nauczyć się narzecza Z, wygryźć z dyrektorstwa Y, zaprzyjaźnić się z X, przemeblować jadalnię i przemalować kuchnię, organizować teatrzyk amatorski, przyczynić się do spłodzenia jednego dziecka i ograniczyć o połowę palenie?

Wizja nie jest taka znowu koszmarna, a taka organizacja życia nie przeraża monotonią i brakiem urozmaicenia, bo życie samo przez się tak pięknie wywraca i urozmaica najszczegółowsze plany osobiste, tak chętnie dostarcza rozlicznych niespodzianek, że obawa stania się niewolnikiem własnych planów, ścieśnienia sobie frajdy płynącej z przeżywania „wielkiej przygody" jest conajmniej płonna.

Życzę tedy wszystkim mym Uczniom, czyli Drogim Czytelnikom szczęścia i pomyślności w Nowym Roku, szczęścia zaplanowanego i pomyślności zaprojektowanej. Jednym słowem — każdemu takiego nieba, jakie sobie zaplanuje. **BELFER**

## ● Socjologia przestępczości ● Ile lat kosztuje 5-pokojowa willa? ● Łatwizna życiowa a demoralizacja młodzieży

Rzecz działa się w gabinecie prezesa Sądu Wojewódzkiego dla województwa łódzkiego. Wokół stołu zasiedli trzej sędziowie, a obok nich — dziennikarz. Dziennikarz nie był podsądnym, lecz przeciwnie — stroną, jak mówili sędziowie, atakującą, prowokującą do szczerych wypowiedzi.

Sędziowie wyrażali na ogół zgodne i jednomyślne poglądy we wszystkich poruszanych w rozmowie kwestiach, wzajemnie uzupełniali swoje wypowiedzi. Korzystając z tego faktu, pozwalam sobie, nie indywidualizując wypowiedzi, opublikować je, jako pogląd zespołu sędziów, na co zresztą uczestnicy rozmowy wyrazili zgodę. Tak więc, pod ogólnym mianem sędziów kryją się: prezes Sądu Wojewódzkiego — Henryk Andrysiak, wiceprezes Sądu Wojewódzkiego i przewodniczący Wydziału IV Karnego — Tadeusz Goździcki, wiceprezes Sądu Wojewódzkiego — Marian Pertkiewicz. A oto w wielkim skrócie treść rozmowy:

DZIENNIKARZ: Od lat dają się w naszym kraju zaobserwować zjawiska rozluźnionej dyscypliny społecznej. Czym Panowie tłumaczą istnienie tych zjawisk?

**SĘDZIOWIE:** Przyczyny są bardzo złożone. Składają się na nie i pewne złe tradycje narodowe, jak prywata i sobiepaństwo, innymi słowy — właściwy nam przerost indywidualizmu, i chorobliwy kult nieposzanowania prawa, streszczający się w popularnym haśle „śmierć frajerom" (prawo przez stulecia było u nas obce), i dotychczasowy brak stabilizacji w naszym ustawodawstwie, i niski stopień kultury prawnej społeczeństwa (ludzie często nie wiedzą, co jest przestępstwem, a co nim nie jest) i właściwy naszym czasom zmierzch autorytetów, a więc wychowanie młodzieży w atmosferze braku szacunku dla nauczycieli, dla rodziców i zwierzchników, i wciąż jeszcze występujące niedomogi organizacyjne w naszym życiu społeczno-ekonomicznym.

DZIENNIKARZ: Podzielając w zasadzie zdanie Panów, pragnę stwierdzić, że jednym z przejawów rozluźnionej dyscypliny społecznej są przestępstwa gospodarcze. W związku z tym chciałbym zapytać co, zdaniem Panów, i dlaczego jest społecznie bardziej szkodliwym zjawiskiem: masowe drobne kradzieże czy też afery gospodarcze większych rozmiarów?

**SĘDZIOWIE:** Zapewne i jedne i drugie są zjawiskiem społecznie bardzo szkodliwym. Jeśli idzie o teren województwa łódzkiego, to ilość skazanych za przestępstwa gospodarcze mniejszych rozmiarów (do 50 tys. zł straty) utrzymywała się w roku 1959 mniej więcej na poziomie roku 1958, ale pozostała bardzo wielka. Natomiast ilość skazanych za większe afery gospodarcze była w roku 1959 o 100 proc. wyższa, niż w 1958 r. Czy to świadczy o wzroście tego typu przestępczości? Niezupełnie. Świadczy raczej o wzroście wykrywalności przestępstw. Większość obecnie rozpatrywanych spraw tej kategorii dotyczy przestępstw dokonanych w poprzednich latach, które jednak dopiero teraz zostały odkryte.

Niepokojące jest natomiast inne zjawisko, które ostatnio obserwujemy. Dawniej aferzyści działali w pojedynkę lub w bardzo nielicznej grupie, teraz rozpatrujemy przeważnie sprawy o przestępstwa grupowe. Na ławach oskarżonych zasiadają wielo-

(Dokończenie na str. 5)

# PODGLĄDANIE ŚWIATA

EDWARD ETLER

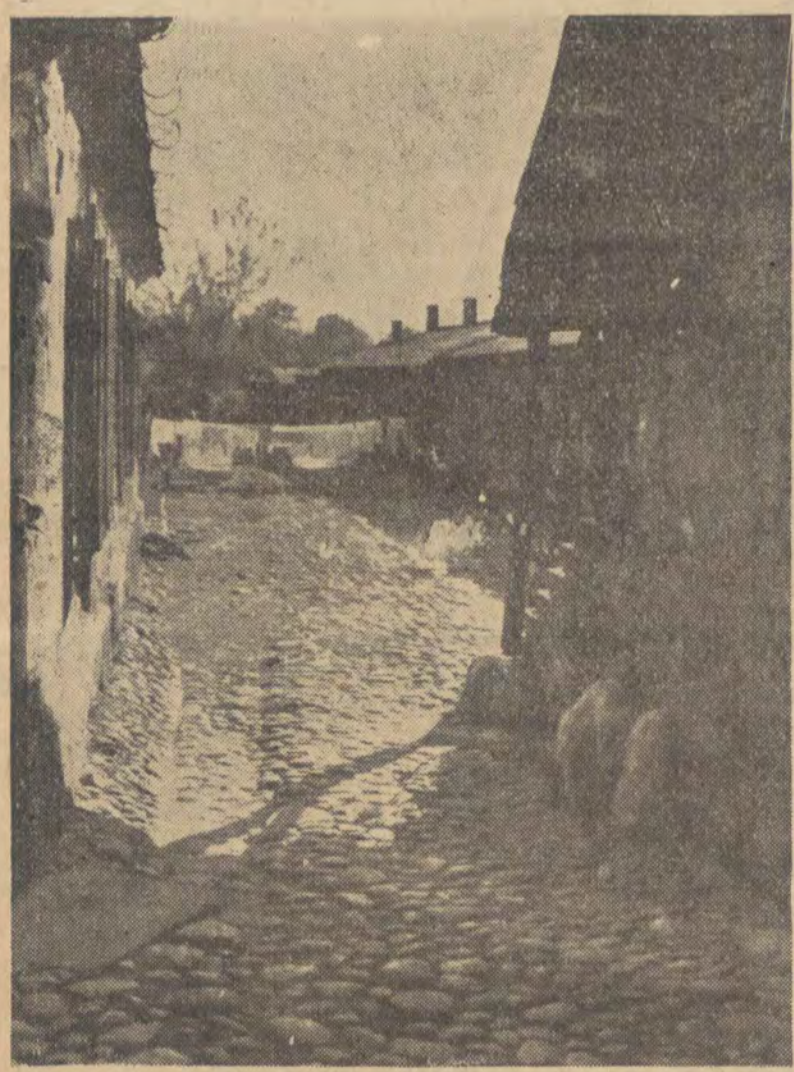

Jerzy Grygiel „Podwórko"

Jej Dostojność fotografika jest formą podglądania świata. Formą przyzwoitą, jak wszystko co jest poparte pretekstem artystycznym. Małe zdjęcie fotograficzne może być zamkniętym, wielowątkowym reportażem, przedmiotem kultu, a nawet największym wydarzeniem epoki.

Powiedzmy od razu, że fotogramy, które wiszą w Salonie Centralnego Biura Wystaw Artystycznych, nie roszczą sobie przesadnych ambicji światopoglądowych, reprezentują za to — zresztą w bogatej rozpiętości form — charakterystyczną i bezpretensjonalną fotografikę opisową, która ma w Polsce wieloletnie i to dobre tradycje. A więc niełatwe eksperymenty formalne, mogące być zaledwie symbolem przejściowej mody i nie „odkrywanie nieznanych światów", tylko fotografika o charakterze studyjnym, fotografika szukająca w temacie równowagi wątku plastycznego z okazją do — częstokroć ironicznych nawet — refleksji. Warto zauważyć, że zdjęcia reportażowe, których na wystawie jest sporo zdają się być świadomie podporządkowane tej metodzie i stąd się najpewniej bierze ujmująca jednolitość stylistyczna pokazu.

Adam Idziński „Gdańsk IV"

Mowa o fotografii utrzymanej w skali barw neutralnych. Zdjęcia kolorowe — to już zupełnie inna sprawa. W tej dziedzinie nasi artyści fotograficy nie przezwyciężyli dotąd podstawowych trudności technicznych i wciąż jeszcze znajdują się na etapie raczkowania. Zastanawiam się czy decyzja wystawiania konwencjonalnych, laboratoryjnych próbek nie była aktem zbyt pochopnym? Daje się to odczuć tym wyraźniej, że w dziale fotografii czarno-białej wystawa legitymuje się wysoką jakością opracowań technicznych. Za każdym z wystawionych fotogramów kryje się mozolna praca i rzetelny trud. Tu trzeba zdać sobie sprawę z faktu, że stoimy wobec kilkudziesięciu dokumentów iście benedyktyńskiej cierpliwości. To onieśmiela, ale nie wszystkich. I tak pewien Tęczowy Ptaszek nabrzdakał w Expresie, lekką łapką porozdzielał cenzurki i naferował kilkanaście wierszy „wyroków". Młodzieńcowi jednak wybaczono. Fotograficy są wyrozumiali i przyzwyczajeni. Nie ma w tym nic dziwnego, z fotografiką jest jak z płcią piękną, każdy ma z nią mniej lub więcej do czynienia a zatem stało się powszechnym mniemaniem, że potrafimy dać prawidłową ocenę każdego napotkanego egzemplarza.

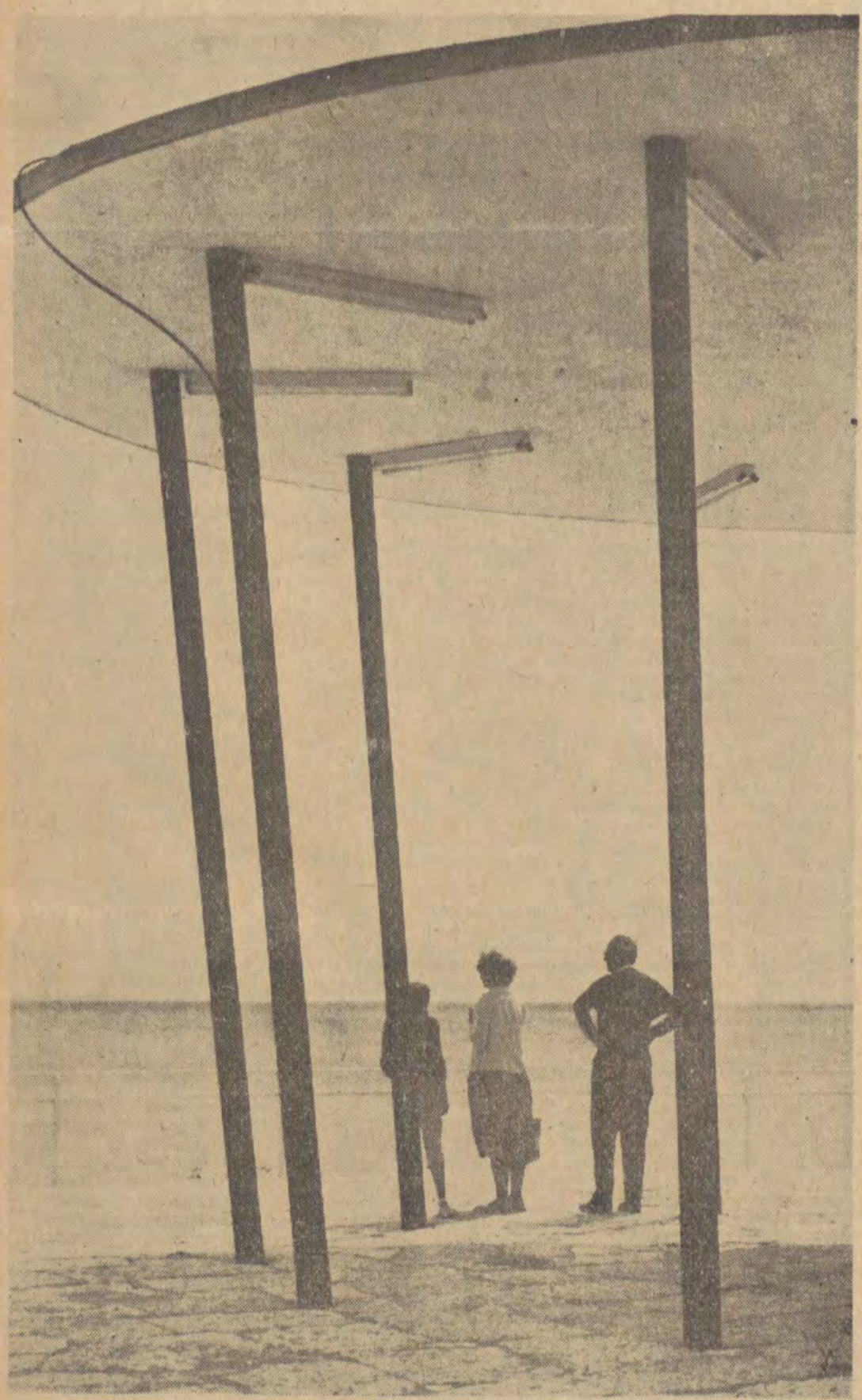

Edward Przybyłowicz „Złote Piaski" (Bułgaria)

Roman Kropat „Ptaszek"

JERZY DAGOBERT

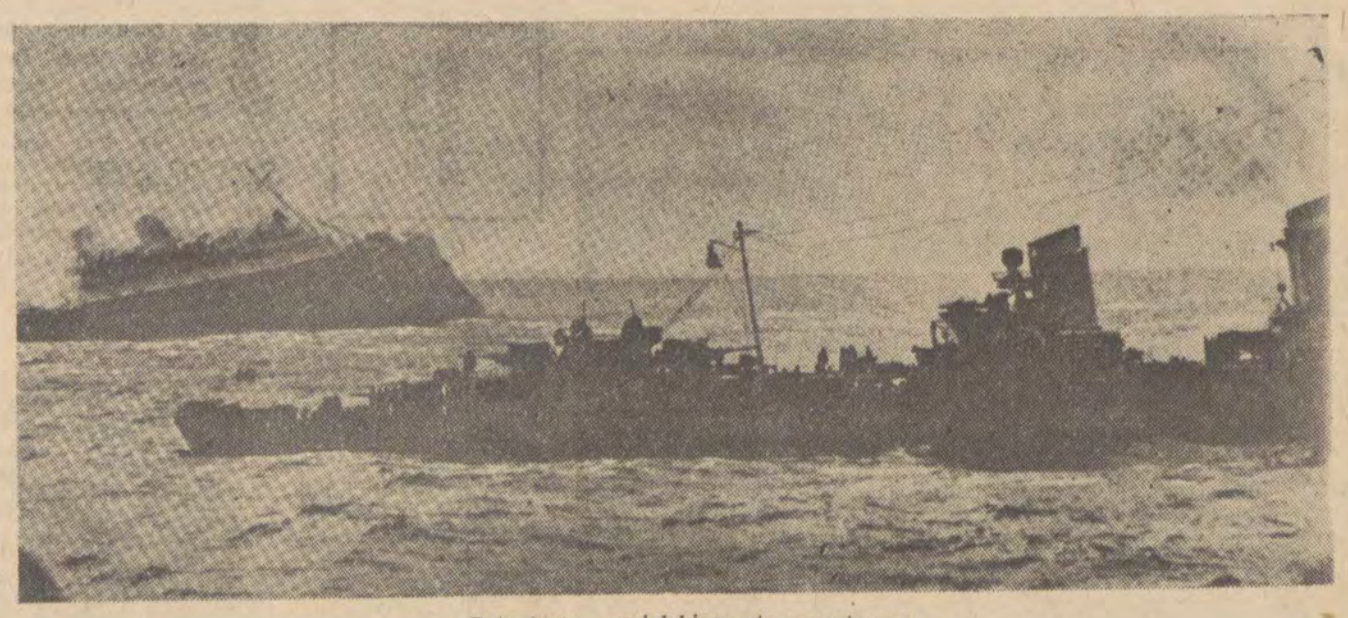

*Zatopienie angielskiego transportowca*

# OPERACJA „LEW MORSKI"

**13 lipca 1940** roku, o godzinie 11.30 zameldowali się u Hitlera w Berghofie marszałek von Brauchitsch, generał Halder i admirał Raeder, przedstawiając Führerowi plan inwazji na Anglię. Plan ten nazwano kryptonimem „Lew morski".

Hitler miał wątpliwości, czy przedsięwzięcie się uda, ale Halder, który był jedynym człowiekiem wyczuwającym od początku niezdecydowaną postawę „wodza", powiedział: „Operacja ma wszelkie szanse powodzenia, wczoraj Ciano zapewnił nas, że Włochy dołączą się do ataku na Anglię i dostarczą nam dziesięć dywizji i trzydzieści dywizjonów lotniczych[1]). Po długiej dyskusji, w późnych godzinach nocnych Hitler podpisał ściśle tajną dyrektywę zatytułowaną: „Przygotowanie do inwazji na Anglię". Tekst dyrektywy brzmiał: — ponieważ Anglia, pomimo swej beznadziejnej sytuacji wojskowej, nie zdradza chęci porozumienia, postanowiłem przygotować przeciwko niej operację desantową, i jeśli zajdzie potrzeba, przeprowadzić ją. Celem operacji jest... wyeliminowanie metropolii jako bazy działań wojennych przeciwko Niemcom. Przygotowanie całej operacji musi być zakończone do połowy sierpnia".

Tej nocy zdecydowano również, że całością operacji będzie dowodził Hitler z kwatery polowej, znajdującej się w zamku Ziegenberg, w pobliżu Frankfurtu nad Menem.

Zaczynało świtać, kiedy Halder przystąpił do referowania ogólnych zarysów pierwszego rzutu inwazyjnego: „W pierwszym rzucie, musimy przetransportować przez kanał dziewięćdziesiąt tysięcy żołnierzy. W trzecim dniu inwazji w południowej Anglii, powinno już być dwieście sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy. Myślę, że do inwazji i okupacji Anglii wystarczy czterdzieści jeden dywizji. Przy użyciu takich sił inwazja musi się udać."

Raeder nie podzielał entuzjazmu generała. Poza tym, nie był przygotowany do szczegółowego referowania zadań marynarki wojennej w planowanej operacji. Powiedział tylko: „W tej chwili nie posiadamy dostatecznych sił do osłony skrzydeł lądujących dywizji i do unieszkodliwienia brytyjskich pól minowych na kanale i na Morzu Północnym. A co najważniejsze, nie mamy dostatecznych ilości środków przeprawowych dla wojsk inwazyjnych".

Hitler wysłuchał tych uwag i po chwili powiedział: „Ma pan rację ale inwazja na wyspy brytyjskie, daje nam szanse szybkiego zakończenia wojny na Zachodzie. Z tego względu nie mogę z niej zrezygnować i dlatego żądam od pana złożenia do 5 sierpnia dokładnego raportu w jaki sposób można by zabezpieczyć przeprawę przez La Manche".

Tego samego dnia Hitler wydał rozkaz przesunięcia na wybrzeże trzynastu dywizji przeznaczonych do pierwszego rzutu inwazyjnego. Raeder nie wiedział o tym, że w tym samym czasie Hitler wydał równocześnie ściśle tajny rozkaz niektórym jednostkom wojsk lądowych, aby zajmowały pozycje nad Bugiem. Dopiero podczas procesu Norymberskiego, Raeder powie: „W tym czasie, kiedy niemiecka marynarka wojenna czyniła największe wysiłki celem przygotowania inwazji na Anglię, Hitler przesuwał oddziały na granicę rosyjską. Führer oszukał nas wyjaśniając, że ruchy te były wspaniałym komuflażem, mającym rozproszyć podejrzenia angielskie. Tymczasem właśnie marynarka przygotowując się do inwazji na wyspy brytyjskie, dokonała w stosunku do Rosjan największego oszustwa w historii wojny".

Będzie to jedna z tych decyzji Hitlera która wyrażała wolę pokonania Anglii z jednoczesnym pragnieniem uniknięcia inwazji. W parę dni później, Hitler powie Raederowi: „Rzeczą istotną jest unieszkodliwienie Anglii, obojętne, w jaki sposób. Byłoby najlepiej pozbawić ten kraj możliwości działania zbrojnego bez uciekania się do inwazji".

W tym czasie, Hitler miał już oczy zwrócone na Związek Radziecki. Dylemat, który się nazywał „Anglia" chciał rozwiązać za cenę najmniejszego wysiłku. Dopiero potem okaże się, że operacja „Lew morski" kosztowała więcej, aniżeli przypuszczano. Celem, do którego zmierzał Hitler w 1940 roku, było pozbawienie Anglii jakiegokolwiek wpływu na losy jego dalszych grabieżczych wypraw w Europie. Przed atakiem na Związek Radziecki, chciał uniknąć sytuacji, która zgubiła Wilhelma II.

Trzy dni po nocnej rozmowie w Berghofie, Hitler przemawiał w Reichstagu i zapewniwszy jego członków że Niemcy są w stanie znieść wysiłek długotrwałej wojny, powiedział: „W chwili obecnej, uważam za swój obowiązek wobec własnego sumienia zaapelować raz jeszcze do rozumu i zdrowego rozsądku Wielkiej Brytanii... Nie widzę powodu, aby wojna miała trwać nadal".

Siedem dni czekał Hitler na skutek swej oferty. W ciągu tych siedmiu dni pełnych nadziei, że Anglia przyjmie jego pokojowe warunki, zwierzył się generałom: „Wolałbym z Anglią pertraktować. Jeżeli jednak Churchill odrzuci moją propozycję, przeprowadzę na Anglię bezpośrednie uderzenie". Hitler nigdy nie był pewien powodzenia planowanej operacji. Podczas jednej z dyskusji powiedział: „Jedna piąta tych sił, jakie posiadamy, wystarczy, aby pokonać Anglię. Ale prawdopodobnie dysponujemy tylko połową tych środków transportowych, jakie są nieodzowne, aby wojska nasze dotarły do wysp brytyjskich".

22 lipca 1940 roku, brytyjski minister spraw zagranicznych oświadczył, że rząd Jego Królewskiej Mości zdecydowanie odrzuca pokojową ofertę Hitlera.

Jeszcze tego samego dnia, tuż przed północą w gabinecie Raedera zadzwonił telefon. Przy aparacie był Hitler: „Rozstrzygnięcia należy szukać w inwazji". — „Jawohl, mein Führer" — odparł admirał. Po czym dodał: „Marynarka wykona zadanie, jeżeli Luftwaffe zagwarantuje uzyskanie przewagi w powietrzu".

Dyskusja nad operacją „Lew morski" zbliżała się do punktu krytycznego. Hitler nie miał jeszcze pełnego rozeznania sytuacji. Kiedy parę dni później Raeder przekroczył próg gabinetu Hitlera w Berghofie i rozpoczął czytanie nowo opracowanego memorandum, Hitler myślał wówczas o jednym: „Musimy zaatakować Anglię, teraz albo nigdy, zanim wojska brytyjskie okrzepną i dozbroją się".

Był to nieco spóźniony refleks. Od Dunkierki upłynęło dwa miesiące. Ale nie wyprzedzajmy wydarzeń. Raeder czytał dalej: „Operację „Lew morski" należy wykonać tylko w cieśninie Calais-Dover, ponieważ tylko tu można to zrobić przy pomocy barek i łodzi rybackich. Lądowanie czołowych oddziałów szturmowych winno nastąpić o świcie. Jednak ze względu na kalendarz najbliższych przypływów w południowych portach angielskich, postulat ten w najbliższym okresie nie jest do wykonania. Dlatego proponuję, aby operację przeprowadzić w okresie między 19 a 26 września".

Kiedy Raeder skończył, Hitler powiedział: „Rozumiem to doskonale i dlatego ataki powietrzne przeciwko Anglii rozpoczną się natychmiast i wykażą naszą prawdziwą siłę. Jeżeli się okaże, że lotnicze bombardowanie Anglii nie da zadowalających wyników, przygotowania do inwazji będą wstrzymane. Jeśli jednak odniesiemy wrażenie, że wojna powietrzna, oczywiście po pewnym czasie osiągnie odpowiednie wyniki, to wówczas zaatakujemy. Należy uczynić wszystko, co możliwe i przygotować tę operację na 15 września".

Kiedy nazajutrz ponownie powrócono do tej sprawy, Hitler okazał się bardziej szczery i powiedział Goeringowi: „Musimy „wykończyć" Anglię w najbliższych miesiącach. Wiąże się to z moim planem uderzenia na Rosję na wiosnę następnego roku. Rosjan zaatakujemy bez względu na to, czy ataki z powietrza i inwazja doprowadzą do upadku Anglii. Oczywiście, wówczas będę musiał walczyć na dwa fronty. Dlatego tak bardzo zależy mi na zlikwidowaniu Anglii".

W następnym dniu wydał instrukcję nr 17 o prowadzeniu wojny lotniczej i morskiej przeciwko Anglii.

D. c. n.

---

1) *Hitler po tylu nieoczekiwanych sukcesach panicznie bał się najmniejszych niepowodzeń, chciał utrzymać o sobie opinię człowieka nieomylnego i niepokonanego.*

# Zza kulis manii stulecia (2)

Był już listopad r. 1947. Od czasu zamordowania krakowskiego kupca — filatelisty Stanisława Kadłuczki minęło blisko 4 miesiące. Szanse na schwytanie mordercy malały coraz bardziej, do akt śledztwa nie napływały nowe dowody.

Wreszcie dwudziestego listopada...

### PAN INSPEKTOR PRZYSZEDŁ

Do wywiadowców, którzy tego poskudnego dżdżystego dnia obserwowali od rana bez rezultatu pewną bramę przy ul Szpitalnej w Warszawie, w końcu „uśmiechnęło się szczęście".

Przed bramą zatrzymała się taksówka. Ale człowiek, który uciekając przed deszczem, zamierzał jak najszybciej dostać się z dworca do domu, już nie przekroczył progu swojego mieszkania.

Służbowym autem musiał udać się ponownie na dworzec w towarzystwie wywiadowców i kompromitującego bagażu, którego nie zdążył ukryć. Pociąg do Krakowa odchodził za chwilę...

### OCHRONA SKARBOWA W AKCJI

Przeszło 3 miesiące wcześniej rankiem 11 sierpnia 1947 roku w biurach Inspektoratów Ochrony Skarbowej w całym kraju, o tej samej godzinie, kierownicy oczekujących w pogotowiu trójek inspekcyjnych, rozerwali koperty z zawartym w nich poleceniem: „zabezpieczyć zbiory znaczków u... (tu następowały nazwiska i adresy wszystkich polskich kupców filatelistycznych oraz... wszystkich poważniejszych zbieraczy-filatelistów w Polsce)"

Auta rozjechały się we wskazanych kierunkach...

Funkcjonariusze I. O. S. wchodząc do mieszkań byli doskonale zorientowani, gdzie każdy z filatelistów przechowuje swoje zbiory, a nawet najcenniejsze okazy znaczków, znajdujące się zwykle osobno.

Działali dosłownie z planem mieszkania w ręku. Skądże mieli tak dokładne dane?

Zapytajmy najpierw: co było powodem przeprowadzenia akcji?

Nastąpiła ona skutkiem powtarzających się coraz częściej doniesień o nadużyciach popełnianych przez kupców filatelistów i o ukrywaniu przed władzami skarbowymi rzekomo wielkich transakcji oraz wymiany z zagranicą.

Szafy i biurka kryjące zbiory zostały opieczętowane. Trzeba było teraz przystąpić do oszacowania „towaru", który miał być przedmiotem nielegalnego handlu.

Tu władze skarbowe musiały powołać eksperta.

### PAN INSPEKTOR

*Ministerstwo Skarbu*
*Główny Inspektor Ochrony Skarbowej*
*L.D.I. GIOS/Ag 86/4/47*

*G.I.O.S. deleguje i upoważnia obywatela Tadeusza J.*) do dokonania ekspertyzy filatelistycznej znaczków pocztowych, zajętych w toku akcji w dniu 11.8. br. w Okręgach I.OS. Warszawa, Łódź, Kraków, Katowice, Wrocław, Poznań, Szczecin i Gdańsk.*

*(podpis)*

Człowiek, któremu wręczono powyższe pismo, znalazł się teraz — w swoim mniemaniu — u szczytu życiowych sukcesów.

„Zasłużył sobie" zresztą na nie solennie. Oto wydawały plony dalekie podróże i wizyty u filatelistów na prowincji, dzięki czemu mógł inspektorom dostarczyć dokładne plany mieszkań wraz z zaznaczonymi schowkami znaczków. Oto były rezultaty donosów o rzekomych nadużyciach filatelistów, które pisywał do władz.

Wkradłszy się w łaski władz skarbowych, Tadeusz J. z właściciela podrzędnego sklepiku filatelistycznego stał się nagle panem „życia i śmierci" wszystkich kupców filatelistycznych. Mógł każdego z nich zrujnować teraz jednym orzeczeniem.

O to mu właśnie chodziło...

Nadeszła chwila wprowadzenia w życie gigantycznego planu, który od tak dawna przygotowywał.

Bez ociągania przystąpił do dzieła i byłby prawdopodobnie zrealizował swój plan, gdyby nie „przeszkodził" mu w tym... zamordowany przed miesiącem Stanisław Kadłuczka.

### SKUTKI ULEGANIA POKUSOM

Tadeuszowi J. wyraźnie spieszyło się do Krakowa. Już w tydzień po otrzymaniu pisma od władz skarbowych, po pobieżnym oszacowaniu zbiorów warszawskich, wylądował w podwawelskim grodzie, który wówczas był stolicą filatelistów.

Milicja na jego życzenie zerwała pieczęcie ze sklepu przy ul. Długiej 14, zabezpieczonego dotychczas od chwili śmierci właściciela— Stanisława Kadłuczki.

Pięć dni — między 5 a 9 września spędził Tadeusz J. w sklepie, szacując zbiory Kadłuczki, chociaż na ekspertyzę znaczków ośmiu innych filatelistów krakowskich poświęcił poprzednio tylko trzy dni.

Bo też otworzyły się przed panem inspektorem możliwości, o jakich mu się nie śniło. Przy szacowaniu innych zbiorów asystowali zawsze właściciele. Tu zaś Tadeusz J. znalazł się sam na sam z olbrzymim bogactwem, którego wartość i zawartość znał tylko zamordowany. Istniała więc możliwość bezkarnego przywłaszczenia przynajmniej części zbioru. Przydzielony do pomocy Tadeuszowi J. urzędnik ochrony skarbowej równie szybko zrozumiał nadarzającą się okazję, a znany oszust filatelistyczny, niejaki G., który podstępem zdobył od nieszczęśliwej wdowy po Kadłuczce pełnomocnictwo do reprezentowania jej przy dokonywaniu ekspertyzy, również patrzył tylko, co by można ze sklepu ukraść.

Dobrana trójka „pracowała" w sklepie Kadłuczki, nie kontrolowana przez nikogo, urządzając bez przerwy sute libacje.

W obliczu „porzuconego" bogactwa pan inspektor nie wytrzymał i przepił swą wielką szansę życiową.

### KARTKA ZNAD MORZA

W okresie między dokonaniem kradzieży zbiorów Kadłuczki i aresztowaniem, Tadeusz J. „sfinalizował" jeszcze jedną aferę, która dla ofiary skończyła się tragicznie. Uszedłszy bowiem na razie bezkarnie ze zbiorami zamordowanego Kadłuczki, mniemał prawdopodobnie, że i następne oszustwa nie zaszkodzą dalszej jego karierze.

Krąży wersja, że latem roku 1947, jeszcze przed śmiercią Kadłuczki, Tadeusz J. wraz ze swoim „satelitą" Alfonsem P. sprzedał gdańskiemu filateliście — malarzowi R. znaczki na sumę 200 tys. złotych. Gdy tamten stwierdził, że nabyte znaczki są fałszywe, uległ szokowi nerwowemu i został oddany do szpitala psychiatrycznego. W tym czasie w trakcie akcji I.O.S. zabezpieczono również cały olbrzymi zbiór znaczków malarza R. a z uwagi na jego nieobecność, zdeponowano je w milicji.

Wówczas Tadeusz J. zwierzył się jednemu z filatelistów, człowiekowi znanemu z uczciwości, że obawia się, iż znaczki zginą w depozycie, czego malarz nie przeżyje. „Warto by w jakiś sposób wydostać zbiór z mi-

---

*) Człowiek o którym mowa, wyszedł jukż z więzienia, po odbyciu kary, dlatego też pozwalamy sobie zataić jego nazwisko.

*(Dalszy ciąg na str. 8)*

# TYSIĄC I ZNACZNIE WIĘCEJ

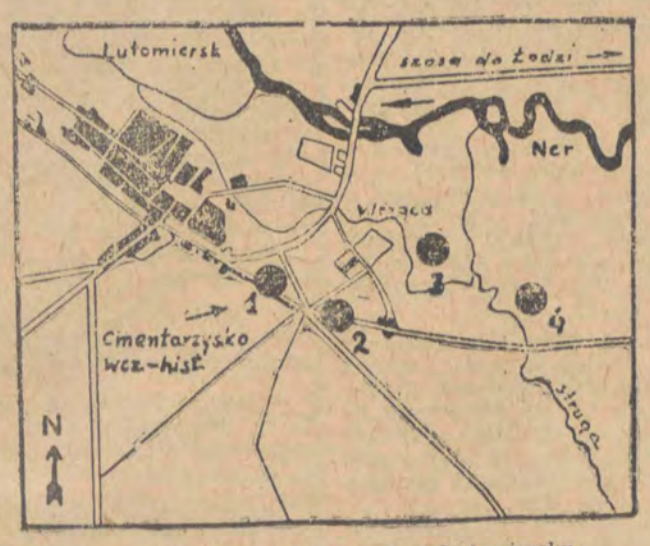


*Plan sytuacyjny stanowiska nr 1 w Lutomiersku, w pow. łaskim*

*(Dokończenie ze str. 1)*

że ziemie nasze aż do VI wieku obsiadały germańskie plemiona, które opuściły nasz kraj w okresie wędrówki ludów. Kultura zaś, którą uważamy za prasłowiańską — była kulturą plemion germańskich takich jak Burgundowie czy Wandalowie. Ustąpili Wandalowie — przyszli Słowianie i w X wieku powstało państwo polskie.

Jest bowiem w historii zamieszkania naszych ziem szereg luk, które starają się wypełnić nasi przeciwnicy i wykorzystują je dla swych celów.

Na ziemiach, które uważamy za rdzennie polskie istniały bardzo różne grupy kulturowe — różniło się Pomorze od Wielkopolski, a Wielkopolska od Małopolski. — Kultura prasłowiańska — powiedział mi pewien archeolog — przypomina nieco potworka, który oczy ma z Wielkopolski, głowę z Małopolski, a ręce z Pomorza.

Uczeni nasi starają się udowodnić, że mimo tych różnic poszczególne grupy kulturowe na naszych ziemiach pochodzą jednak od wspólnego pnia — jest nim kultura łużycka, a poniżej kultura wenedzka. Ale między poszczególnymi grupami kulturowymi jest akurat tyleż podobieństw co i różnic. Czy możliwe więc jest, że ziemie nasze zamieszkiwał jeden lud i ten jeden lud tworzył tak różne kultury?

A jeśli przypomnieć jeszcze o owych przerwach w osadnictwie na naszych ziemiach — ileż pozostaje możliwości do podawania w wątpliwość naszego rodowodu dalej niż od VI wieku...

W tej walce poglądów naukowych — bardzo żywotnych dla interesów naszego współczesnego państwa — niezwykłą rolę odgrywa mała osada podłódzka, Lutomiersk.

Łodzianie trochę wiedzą o osadzie w Biskupinie nad Gopłem, słyszałem o wycieczkach do Tumu pod Łęczycą. Ale mało kwapimy się do zajęcia miejsca w lutomierskim tramwaju. Mała brzydka osada nad śmierdzącym Nerem nie budzi zainteresowania. Ale w nauce, w archeologii, stanowi ona w tej chwili jedno z

*Brązowy krępulec od wędzidła z grobu 10*

węzłowych zagadnień. Lutomiersk istnieje bowiem bez przerwy 3.500 lat.

Osada ma prostokątny rynek, na którym zakręca podmiejski tramwaj, ma kilka wyboistych uliczek, ma stary klasztor. Jedyną atrakcją tej osady może być świadomość, że spacerując po małych uliczkach można by parafrazować Napoleona i wołać: „35 wieków patrzy na nas". Niestety, patrzą na nas tylko krzywe domki, a owe 3.500 lat kryje się w niewielkim rozkopanym przez archeologów pagórku poza miasteczkiem.

Historia wykopalisk lutomierskich jest bardzo humorystyczna i potwierdza przysłowie, że „kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada".

W 1940 roku hitlerowcy dewastując w Lutomiersku stary cmentarz żydowski natrafili na inkrustowany srebrem miecz typu skandynawskiego. To „wikińskie" znalezisko wydało im się doskonałym argumentem dla udowodnienia germańskości okolic podłódzkich. Rozpoczęli wykopaliska, aby odkryć więcej dowodów niemieckości Lutomierska i... prędziutko zlikwidowali wykopy, bo ziemia ukazała im zabytki prapolskie i... ruskie.

W 1949 roku wszczęli w Lutomiersku badania łódzcy archeologowie. Odkryli 3 i pół, a nawet 4-metrową warstwę osadniczą. Lutomiersk nad Nerem — starym szlakiem komunikacyjnym — zamieszkiwała ludność nieprzerwanie od epoki brązu do czasów historycznych.

Na samym dnie, w najniższych warstwach kulturowych, odnaleziono ślady ludzi, żyjących tutaj już 1.500 lat przed naszą erą. Była to ludność rolniczo-pasterska, którą archeologowie zaliczają do tzw. kultury trzcinieckiej. Nieco wyżej (w wyższych warstwach) odkryto pozostałości osady ludności, która była twórcami tzw. kultury łużyckiej, a jeszcze wyżej — kultury wenedzkiej. Przez 3.500 lat w sposób nieprzerwany, z pokolenia na pokolenie, żył tu ten sam lud, który w X wieku dał się poznać jako Słowianie, twórcy Państwa Polskiego. Lutomiersk dostarcza nauce owego brakującego ogniwa, które spina jak klamrą czasy przed okresem wędrówek ludów aż do czasów późniejszych, gdy rodziło się polskie państwo.

Powiedzmy jaśniej i prościej: jeśli w X wieku mieszkali tu Słowianie polscy (a wiemy na podstawie wykopalisk, że osada w Lutomiersku trwała nieprzerwanie od epoki brązu, że poszczególne warstwy osadnicze narastały z roku na rok, z wieku na wiek) — jaki lud żył tutaj w owych odległych wiekach? Byli to również Słowianie, protoplaści tych z X wieku.

I tak — mały, skromny Lutomiersk obala teorie, że o Słowianach na naszych

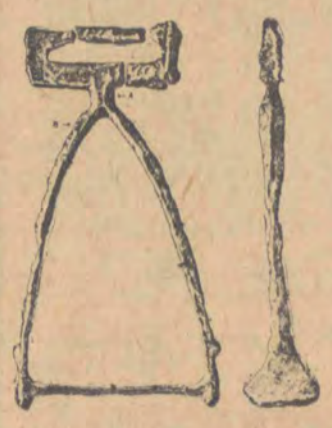

*Strzemię żelazne ze śladami inkrustacji srebrem w miejscu A i B*

ziemiach można mówić dopiero od VI czy VII wieku. Państwo nasze ma tysiąc lat. Przed tysiącem lat Słowianie polscy uformowali swoje państwo. Lecz osiedlali nasze ziemie przynajmniej od 3 i pół tysiącleci. Można to sprawdzić w warstwach osadniczych na

*Zapinka brązowa typu bałtyjskiego z grobu 9*

małym wzgórku lutomierskim. Można tam sprawdzić jeszcze inne, interesujące zjawisko. Jak w miarę upływu wieków poszczególne kultury słowiańskie przeradzały się jedna w drugą; kultura trzciniecka dawała początek kulturze łużyckiej, a ta z kolei kulturze wenedzkiej, z której zrodziła się kultura Słowian we wczesnym średniowieczu.

Wczesne średniowiecze, a szczególnie czasy Bolesława Chrobrego, pozostawiły w Lutomiersku niezwykle interesujące cmentarzysko, gdzie obok grobów Słowian polskich znaleziono również bardzo ciekawe i bogato wyposażone groby Słowian ruskich. Istnieje poparta dość przekonywającymi dowodami hipoteza, że właśnie w Lutomiersku osiadł zięć Chrobrego, Świątopełk wraz ze swą drużyną, gdy w 1019 roku wypędził go z Kijowa jego brat Jarosław *).

Z Lutomierskiem historia obeszła się dość okrutnie. Źródła pisane wspominają go dopiero w XIII wieku — Leszek Czarny, książę sieradzki nadał Lutomierskowi prawa miejskie i osiedlili się w nim sukiennicy. Niemniej świetności jego należy szukać daleko wstecz. Leżąc na skrzyżowaniu dwóch poważnych szlaków lądowych, z których jeden łączył Kijów z Poznaniem i Szczecinem, a drugi — Gdańsk z Krakowem i Węgrami — Lutomiersk był chyba poważnym i zamożnym grodem.

To małe, szare i nieciekawe miasteczko podłódzkie odgrywa w nauce ogromną rolę nie tylko w poznaniu najbardziej zamierzchłych dziejów słowiańszczyzny, ale i początków naszego państwa. Wykopaliska wczesnośredniowieczne — bogate i niezwykle liczne groby konnych wojów odkryte w Lutomiersku — pozwoliły uczonym spojrzeć po nowemu na organizację wojskowości w czasach Bolesława Chrobrego.

Niedługo już łódzki ośrodek archeologiczny opublikuje obszerne i szczegółowe materiały o badaniach w Lutomiersku **). Wyniki tych badań będą arcyciekawe. Być może podłódzkie miasteczko stanie się równie sławne jak kujawski Biskupin.

Łódź jest miastem bardzo młodym. Warto, aby poświęciła więcej uwagi małej, ale starożytnej osadzie żyjącej w jej cieniu. Warto, aby Wydawnictwo Łódzkie przygotowało jakąś bardzo popularną monografię miasteczka liczącego sobie 35 wieków. Te trzy i

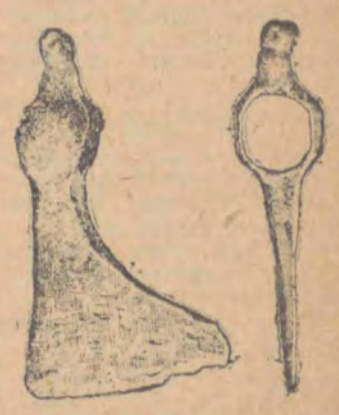

*Topór bez oporów obuchowych z grobu 71*

pół tysiąca lat Lutomierska to jedna z trwałych cegieł w fundamencie naszego tysiącletniego państwa.

**Z. NIENACKI**

---

*) O wykopaliskach w Lutomiersku ukazało się już kilka prac. K. Jażdżewskiego „Cmentarzysko wczesnośredniowieczne w Lutomiersku pod Łodzią w świetle badań z 1949 r." Materiały Wczesnośredniowieczne tom I Warszawa 1951 r.

A. Nadolski, T. Poklewski, A. Abramowicz „Cmentarzysko z X—XI w. w Lutomiersku" Łódź, 1958 r.

**) Nie znaczy to, że badania w Lutomiersku zostały zakończone. Katedra Archeologii UŁ planuje tam prace wykopaliskowe na szeroką skalę również i na okres dalszych 10 lat.

---

## ● Socjologia przestępczości

## ● Ile kosztuje 5-pokojowa willa?

## ● Łatwizna życiowa a demoralizacja młodzieży

*(Dokończenie ze str. 2)*

**osobowe kliki, a nawet mafie, które przez dłuższy czas działały w ścisłym związku i zakonspirowaniu, aż dopiero kłótnia przy podziale łupów względnie przypadek ujawniły ich przestępczą działalność.**

DZIENNIKARZ: — W jakich instytucjach i kto najczęściej dokonuje przestępstw gospodarczych większych rozmiarów?

**SĘDZIOWIE: Najwięcej afer gospodarczych wykryto w instytucjach spółdzielczych, a więc w gminnych i powiatowych spółdzielniach „Samopomocy Chłopskiej", w spółdzielniach pracy oraz w przedsiębiorstwach skupu. Przeważnie przestępstwa te były dokonywane przez prezesów spółdzielni, przez członków dyrekcji przedsiębiorstw, przez głównych księgowych, magazynierów i im podobnych ludzi dobrze uposażonych i materialnie nieźle się mających.**

**Uogólniamy tu nieco na podstawie praktyki sądowej ale z zastrzeżeniem, iż uogólnienie nasze nie jest wszechobejmujące. Nie chcemy tutaj rzucać cienia złej opinii na ludzi kierujących wspomnianymi dziedzinami gospodarki, ale faktem jest, że większych afer dopuszczają się nie robotnicy, lecz ludzie na eksponowanych stanowiskach. Aferzyści nie mają nawet odwagi tłumaczyć się w sądzie niezamożnością, która by ich do tych przestępstw skłaniała.**

**Na przykład w słynnej aferze w Zakładzie Oczyszczania Nasion, kierownik tego zakładu i główny oskarżony w procesie — Prączko zarabiał miesięcznie ok. 2 tys. zł, posiadał większe gospodarstwo rolne na terenie m. Łodzi, prócz tego był właścicielem przedsiębiorstwa przewozowego i jeszcze fermy na Lubelszczyźnie. To wszystko jednak nie wystarczało. I dlatego pan kierownik Zakładu Oczyszczania Nasion dokonywał z chłopami nielegalnych transakcji i zarobił sobie około pół miliona złotych, łącznie z wyrokiem sądowym.**

**Albo inna głośna swego czasu afera w Zelowskich ZPB, gdzie całe kierownictwo fabryki, z dyrektorem na czele, wystawiało fikcyjne rachunki na nieistniejące prace zlecone, a uzyskane kwoty dzieliło między sobą. Czy motywem przestępstwa były w tym wypadku niedostatki materialne? Chyba nie, wszak byli to ludzie dobrze uposażeni.**

**Z faktu, iż afer dopuszczają się ludzie na kierowniczych stanowiskach, ludzie obdarzeni często społecznym zaufaniem — wynika ich duże niebezpieczeństwo społeczne. I dlatego słusznie postąpił ustawodawca, wydając w styczniu 1958 r. ustawę o wzmożeniu odpowiedzialności za przestępstwa gospodarcze.**

**Dochodziło przecież do tego, że aferzyści w rozmowach między sobą stawiali tego rodzaju pytanie: ile lat kosztuje 5-pokojowa willa? I istotnie np. przy drodze z Łodzi do Łęczycy można zobaczyć niejedną willę, której cena waha się od 1 do 3 lat. To się niektórym opłacało.**

**Warto również podkreślić, że na skutek niedomogów organizacyjnych, braku odpowiednio zabezpieczonych magazynów, niedostatecznej weryfikacji kadr aferzyści mają szczególnie sprzyjające pole do działania.**

DZIENNIKARZ: Z jakich środowisk społecznych wywodzą się i jaki jest przeciętny wiek przestępców gospodarczych?

**SĘDZIOWIE: Przeważnie na ławach oskarżonych zasiadają ludzie młodzi, w wieku ok. 30 lat, najczęściej półinteligenci o niskim stopniu wykształcenia, którzy szybko chcą się dorobić majątku.**

DZIENNIKARZ: Czy fakt, że przestępcami są przeważnie ludzie, którzy dopiero po wojnie doszli do wieku dojrzałości, nie obciąża w jakimś stopniu naszego systemu wychowania?

**SĘDZIOWIE: W pewnym sensie — tak. Ale głównie chyba wynika to z ogromnego awansu życiowego, jaki nasz ustrój otworzył dla młodych ludzi. Jakże trudna była dawniej droga awansu dla młodego człowieka! A dziś? Zbyt łatwo zdobywa się zawód, stanowisko, awans! Mogłoby to być pozytywnym zjawiskiem, gdyby było należycie wykorzystane. Tymczasem ta łatwizna życiowa demoralizuje młode umysły, a szczególnie słabe charaktery.**

DZIENNIKARZ: Obserwuje się u ludzi pewien brak szacunku dla wykonywanej pracy, brak dążności do przodownictwa w pracy. Gdzie, zdaniem Panów, tkwią przyczyny tego zjawiska?

**SĘDZIOWIE: Brak szacunku do wykonywanej pracy cechuje głównie młodzież i wynika to przeważnie z wspomnianej przez nas łatwizny życiowej, z braku dostatecznego zróżnicowania w uposażeniu między młodym, mało wykwalifikowanym pracownikiem a starym doświadczonym fachowcem, z braku odpowiedniego dopingu do wytężonej pracy, z niedostatecznych bodźców ekonomicznych i moralnych, z braku odpowiedniego stopniowania w osiąganiu awansów.**

DZIENNIKARZ: Chciałbym jeszcze zapytać, czy zdaniem Panów stosowana w naszych sądach polityka karna jest odpowiednim i wystarczającym środkiem reedukacji przestępców i odbudowy zdrowej atmosfery moralnej w społeczeństwie.

**SĘDZIOWIE: Polityka karna jest tylko jedną z dróg do reedukacji przestępców i odbudowy zdrowej atmosfery moralnej. Pełne i główne rozwiązanie tego problemu leży w płaszczyźnie psychologicznej, ekonomicznej, organizacyjnej, a nawet i politycznej. Jesteśmy optymistami co do przyszłości. Ale nie możemy i nie powinniśmy działać w pojedynkę. Musi nastąpić koordynacja wysiłków niektórych czynników, instytucji i organizacji mających wpływ na wychowanie społeczeństwa, a przede wszystkim młodzieży. My, sędziowie, szczególnie odczuwamy brak moralnego potępienia przestępców w opinii społecznej. Wymownie o tym świadczą bardzo pochlebne opinie o przestępcach często wystawiane przez ich zwierzchników. Nie chcemy być osamotnieni w naszej pracy i walce, oczekujemy solidarnej pomocy całego moralnie zdrowego społeczeństwa.**

**MARIAN BIELECKI**

Władysław Rymkiewicz

# ROMANS KRÓLEWSKI

(Dalszy ciąg z poprzedniego numeru)

— Król jegomość liczy sobie czterdzieści jeden lat.

— Cóż stąd?

— Jaśnie wielmożna pani nie docenia siły przyzwyczajenia i rozkoszy — oblizał językiem wyschłe wargi. — Rozkoszy, jaką znajduje podstarzały mężczyzna u boku niewiasty, do której przywykł, i której być może, oddaje swe ostatnie porywy miłosne. — Lubując się we wzruszającej, melancholijnej treści końcowego zdania powtórzył: — Ostatnie porywy...

Poczuł ciepło napływające do policzków. Lubił rozmawiać o miłości z synogarlicami królewskimi. Słuchały go chętnie. Kładły się do łoża z jego królewską mością, lecz wyższą, duchową stronę swej istoty oddawały dworzaninowi.

— Ja, który znam najtajniejsze drgnienia jego duszy — zapewniał z dumną zarozumiałością — mogę zwierzyć jejmość pani tajemnicę wielkiej wagi.

Z rutyną doświadczonego oratora wytrzymał chwilę ciszy, żeby wzmóc zaciekawienie. — Król jegomość czuje się już nieco zmęczony siłą charakteru i despotyzmem swej małżonki, która wodzi go po bezdrożach wielkiej polityki jak Etiopczyk słonia — zaśmiał się dyskretnie i po przerwie mówił szeptem. — Ja, który widzę i słyszę, jak mój pan rzuca się i majaczy na łóżku w bezsennych wzdychaniach, ja jeden wiem, czyje imię powtarza najczęściej.

Pani Elżbieta przeplotła mocno palce. W szafirowych oczach pojawiły się chłodne błyski napiętej uwagi.

— Ja jeden domyślam się — dworzanin królewski ściszył głos — czyje skronie kobiece pragnąłby on widzieć opromienione blaskiem korony tego świetnego Królestwa Jagiellonów i Wazów.

Podkanclerzyna rozplotła porywczo ręce. — Waszmość żarty sobie stroi! Waszmość nie wmówisz we mnie — tłumiąc słowa przycisnęła do ust koronkową chusteczkę.

— Król jest zmienny, to prawda — tonem zażyłej przyjaźni rozważał powoli pokojowiec królewski. — Był żołnierzem, jezuitą, kardynałem. Wszelako przychodzi na mężczyznę taka pora, że największy wartogłów i trzpiot zaczyna wzdychać do statecznego trybu życia i marzy o tym, żeby po trudach wędrówki życiowej przybić jak żeglarz na skołatanym okręcie do bezpiecznej przystani.

Podkanclerzyna opadła na fotel. — To majaki! — gryzła i szarpała zębami chusteczkę. — Ja nie wierzę...

— Wszelako nikt inny, tylko waćpani trzymasz w swych drobnych rączkach przyszłość, i nie tylko własną — układał starannie słowa i fałdy swego aksamitnego płaszczyka. — Dlatego moim skromnym zdaniem nie pora myśleć o rozwodzie — doradzał poważnie. — Że pan Radziejowski i u dworu, i w tym pałacu czuje się nieograniczenie samowładny, nikomu równym być nie chce i unosi się dzikimi zachceniami? Ależ jejmość pani masz służbę, wojsko nadworne, przyjaciół, braci! Nie trzeba się poddawać małżonkowi! — podjudzał jowialnie, tonem na pół dobrodusznym, na pół zjadliwym.

Grzyby nawarstwiły się na knotach i świece zaczęły kopcić. Tyzenhauz kichnął. — Podkanclerzy wyjeżdża ponoć pojutrze do Lublina? — z natręctwem zausznika dopuszczonego do poufałości zapytał głosem stłumionym przez chusteczkę przy ustach.

— Widzę, że szpiegowie na królewskim dworze nie próżnują?

— Szpiegów mamy dobrych — pokojowiec Jana Kazimierza parsknął zduszonym śmiechem. — Zatem pojutrze — wrócił do poprzedniego konspiracyjnego tonu — król jegomość będzie miał szczęście ujrzeć swoją panią podkanclerzynię? — podniósł do ust białą dłoń jejmości i wycisnął pocałunek.

Pani Elżbieta wyswobodziła ramię. Tyzenhauz wstał. — Król jegomość przyjedzie wieczorem jak zwykle od strony rzeki — powiedział z pedanterią dworaka odpowiedzialnego za ceremoniał i przebieg wizyty. — Czy pani ochmistrzyni będzie oczekiwała na dostojnego gościa?

Wymienili domyślne spojrzenia jak dwoje ludzi, którzy się dobrze znają i wiedzą, co o sobie sądzić.

Tyzenhauz westchnął znacząco, machnął z dworską galanterią kapeluszem, którego pióro musnęło kobierzec, i stawiając nader dystyngowanie nogi w półbucikach na wysokich korkach pośpieszył do wyjścia.

### ROZDZIAŁ II

Tyzenhauz zajrzał do antykamery. Wieczór pomalował na granatowo weneckie okna. Słabe trzaski dwóch grubych woskowych świec przeplatywały się z mruczeniem ojca jezuity, odmawiającego pacierz przed świeżo kupionym przez króla obrazem błogosławionego Jana z Dukli. Król jegomość żywił szczególne nabożeństwo do błogosławionego Jana z Dukli, któremu zawdzięczał ocalenie w bitwie z Francuzami nad Mozelą, gdzie walczył po stronie rakuskiej. Znajdując się już prawie w rękach nieprzyjaciół zawołał: „Błogosławiony Duklanie, ratuj!". I oto w szeregach wrogów stanęła otworem ulica, przez którą Jan Kazimierz, królewicz polski, na służbie cesarskiej, mógł swobodnie wrócić do oddziałów polsko-austriackich. Cud. Prawdziwy cud! Tyzenhauz zacisnął usta, zmarszczył nos i wszedł do komnaty, gdzie drzemał przełożony pokojowców królewskich, podkomorzy koronny i obersztér piechoty cudzoziemskiego autoramentu Wilhelm Gotard Butler, sławny żołnierz Rzeczypospolitej, który w niebywałych faworach u króla kwitnął. Szczęśliwiec, fortuna sama pchała mu się do rąk, opływał w dostatki i zaszczyty! Opowiadano, że nie tylko król ale i Maria Ludwika darzy obersztera względami. Złośliwi przebąkiwali nawet i to i owo! Bzdurum badurum! Chociaż w końcu, kto może wiedzieć? Z niewiastami, jak to z niewiastami, kto dobrze ujmie, lekko niesie.

W komnacie Jana Kazimierza płonęła rubinowa lampka oliwna o złotych ażurowych liściach akantu, wisząca przed wizerunkiem Matki Boskiej skopiowanym z obrazu w kościele Karmelitów we Lwowie, dla której król odczuwał głęboką wdzięczność przypisując jej swe cudowne wyzdrowienie z ospy w czasie wyprawy tureckiej za życia Władysława Czwartego.

Jan Kazimierz w krótkiej kamizelce z grubej jasnożółtej tkaniny na wamsie z fioletowego jedwabiu z ozdobnymi aplikacjami i koronkowymi mankietami klęczał objąwszy obu ramionami aksamitny pulpit klęcznika. Z leżącej na dłoniach głowy obsypały się bujne pukle czarnej peruki, spod której nie było widać twarzy.

Tyzenhauz odchrząknął delikatnie. Czarna kopa włosów poruszyła się, wyjrzał z niej przypłaszczony czubek tępego nosa. — Gdzieś latał, paliwodo? Przybliż się waćpan! Włóczysz się nie wiadomo gdzie. Żadnego pożytku z ciebie. Mówiłeś, że podkanclerzy wyjeżdża jutro do Lublina?

— Jutro, najjaśniejszy panie.

— Toś waćpan kiep, bo wyjechał przed godziną.

Jan Kazimierz podniósł się z klęcznika, podszedł skradającym się krokiem do swego pokojowca. — No i co? — zapytał cicho z szyderczym tryumfem. — A widzisz!

Tyzenhauz zamrugał bezrzęsnymi powiekami. — Nie moja wina, miłościwy panie! Skąd mogłem wiedzieć, że zmienił zamiar? Taka to sprawiedliwość! Taka nagroda za trudy! — odgryzał się płaczliwie.

— Dosyć! Żadnych tłumaczeń. Przynieś mi waść opończę. — Król pchnął lekko dworzanina w kierunku drzwi. — I wracaj piorunem! Kocz na dziedzińcu czeka.

Tyzenhauz wybrał dwa futrzane okrycia, jedwabne półmaski i czarne kapelusze.

Butler spozierał podejrzliwie. — Dokąd to waść? I z kim, jeżeli wolno spytać?

— Na nieszpór — Tyzenhauz warknął kpiąco.

W chwilę później prowadził zamaskowanego i spowiniętego w opończę króla przez ciemne korytarze, ganki i sienie do bocznego wyjścia. W niezamieszkałych częściach Zamku było ciemno i zimno jak w opustoszałej ruderze wyziębionej przez mroźne przeciągi. Z tyłu skrzypiały podłogi.

— Ktoś nas szpieguje — z ustami przy uchu króla szepnął Tyzenhauz.

Jan Kazimierz zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Skrzypienie ustało.

— Chodźmy — Tyzenhauz ujął króla za łokieć i prowadził po schodach w dół, w ciemność.

Na dziedzińcu czekał węgierski kocz z furmanem i kozakiem na koźle. Nie ozdobione herbami ani literami czarne pudło na pasach odcinało się ostro jak karawan w świetle księżyca na tle odmiecionych zasp.

Kocz potoczył się bez turkotu po wyścielonej grubą warstwą śniegu drodze.

W kącie widać było wąską twarz Jana Kazimierza niby odlew gipsowy oblicza z półmaską z czarnego jedwabiu na oczach.

Tyzenhauz spoglądał z niechęcią na wtuloną w rogu karety postać króla, expułkownika cesarskiego, ex-jezuitę, ex-kardynała i myślał o metamorfozach, przez jakie przechodził ten polski Proteusz: oczami wyobraźni ujrzał Jana Kazimierza w mundurze cesarskiego oficera, i w zakonnej sukience w nowicjacie, z ostrzyżonymi włosami, i w purpurze kardynalskiej. Lecz gdzie był prawdziwy Jan Kazimierz, który siedział milczący i ponury jakby jechał na pogrzeb albo (Tyzenhauz bawił się igraszkami wyobraźni) jakby prawdziwy król znajdował się gdzie indziej.

Przypomniał sobie, że kiedyś, w nagłym przypływie przyjaźni, król znudzony zabawą z karłami i małą Dośką zwierzył się, że nieraz doświadcza wrażenia czy uczucia rozdwojenia i patrzy na siebie, jak na kogoś obcego, kogo obserwuje surowo i krytycznie, z zimną bezstronnością sędziego, mającego ferować wyrok. Dobrze, zastanawiał się Tyzenhauz, ale gdzie znajduje się wówczas król, w osobie obserwatora czy w osobie obserwowanego? Nie miał wtedy odwagi zadać królowi pytania, które cisnęło się na usta.

Kocz zatrzymał się. Przez szparę w uchylonych drzwiczkach wsunęła się ręka jak po jałmużnę. Tyzenhauz wcisnął w rozczapierzone palce klucz od furty ogrodowej. — Poszukasz pani ochmistrzyni. Powiesz, że masz posłanie od pewnego szlachcica. Ochmistrzyni niech czeka w małej sieni.

Jan Kazimierz rozłożony w głębokim kącie siedziska zdawał się drzemać. Tyzenhauz raz po raz uchylał firankę. Zielonkawa poświata rozjaśniała skuloną postać króla w kapeluszu naciśniętym na oczy.

Cień przepłynął po szybie.

— Mała sień z lewej strony — uchyliwszy drzwiczek oznajmił półgłosem srebrny kozak. Wiatr od Pragi szeleścił w nagich gałęziach i krzakach. Tyzenhauz kroczył po śladach kozaka. Puszysty śnieg w ogrodzie sięgał do kostek. Dzierżąc szpadę pod pachą szedł przez ciemność i zaspy, od których wiało mrozem. W pobliżu pałacu zdybał pod krzakiem dwórkę załatwiającą potrzebę. Pisnęła jak mysz, furknęła spódnicą i szusnęła w oficynę.

Zaczajony, czekał w ciemnej sieni. Na szczycie wąskich drewnianych schodów rozbłysło żółte światełko. Stożkowaty kołpak spuszczał się w asyście chwiejnych cieni na murze.

— Pani w łożnicy.

— Tym lepiej! — Tyzenhauz parsknął śmiechem.

— Miało być jutro.

— Miła wieść, gdy wołają jeść — zaśmiał się babie w nos.

— Powiedz waszmość królowi: albo niech czyni, albo niech zostawi w spokoju.

— Waćpani zadajesz zagadki.

— Król jegomość pewnie u ojców jezuitów nabył natury zimnej i słabej. Takiemu lepiej u komina się rozgrzewać; niźli u białogłowy względem której nie ma on większej władzy wykonawczej niż na sejmie. — Z lichtarzem w ręce przypierała wystraszonego dworzanina do muru. — Moja pani we łzach tonie, a już ja wiem, co to oznacza.

Odchylał głowę przed żądłem kopcącego płomyka muskającego podbródek.

— Doradź waćpan królowi, żeby słynnego ziela „mistrzownika" zażywał. Ziele to starych i osłabłych względem wenusa potężnymi wobec białychgłów czyni, oziębłość w zgrzybiałych rozgrzewa.

Cofał się wzdłuż muru przed godzącym w policzek mięsistym nosem z błyszczącym czubkiem, w którym odbijało się światełko świecy. — Albo konfortatywy, byle z umiarem — doradzała zgryźliwie. — Ile że niebezpieczny to lek. Stary hetman Koniecpolski, który go zażywał, umarł w kilka miesięcy po ożenku z młodą dzieweczką.

— Co mi tu waćpani? — obruszył się na babskie rady. — Mam powtarzać królowi banialuki?

Nadrabiał miną, żeby się nie zdradzić, że go zatkało z wrażenia. I długo jeszcze nie mógł złapać tchu brnąc z powrotem przez śniegi i zapadając w zaspy.

Szarpnął nerwowo drzwiczkami kocza. — Falibogowska czeka w małej sieni — zameldował wyciągając pomocną rękę królowi do wysiadania.

(d.c.n.)

# Szanowny Panie Redaktorze!

Z zainteresowaniem przeczytałem ostatnio w Pańskim poczytnym piśmie („Odgłosy" nr 50.) artykuł p. Zbigniewa Chylińskiego pt. „Teatr zaangażowany". Z tym większym zainteresowaniem, że tyczy on teatru, w którym obecnie pracuję. W imię prawdy, muszę jednak sprostować pewną nieścisłość w owym artykule zawartą. Pan Chyliński pisze: „Panowała podówczas (w Polsce 1949 roku—przyp., mój, M. V.) koncepcja jednolitego modelu organizacyjno-gospodarczego dla wszystkich teatrów. Kurczyła się samodzielność w kwestiach zarówno ideowo-artystycznych jak i kadrowych. Skrępowano teatry gąszczem przepisów administracyjno - finansowych. Wszystko to doprowadziło w konsekwencji do nudy repertuarowej, szarzyzny inscenizacyjnej i zglajchszaltowania teatrów". Zgadzam się z powyższym najzupełniej. Wielka zgoda! Ale autor pisze dalej:

„Na dobrą sprawę założony przez Grupę Młodych Aktorów PTN (Państwowy Teatr Nowy — przyp. mój, M. V.) był j e d y n y m (podkreślenie moje, M. V.) zespołem w kraju, który potrafił oprzeć się tej „przemysłowej" koncepcji i zorganizować na zasadzie „doboru naturalnego" wokół wspólnych poglądów, a więc na zasadzie, bez której nie ma teatru z prawdziwego zdarzenia" I tu zgody nie ma. Teatr Nowy nie był bowiem j e d y n y m teatrem, który potrafił oprzeć się tej „przemysłowej koncepcji". W owych pamiętnych latach, jak słusznie pisze p. Chyliński „nudy repertuarowej, szarzyzny inscenizacyjnej" istniał i działał teatr-reduta dający co najmniej niebanalne spektale; teatr opierający się wszystkimi siłami rozhukanemu naturalizmowi i sztampie — Krakowski Teatr Rapsodyczny, którego twórcą i zapalonym propagatorem był dr Mieczysław Kotlarczyk.

Słowa te piszę nie dlatego, że z tym teatrem byłem uczuciem i pracą związany, lecz, jak wyżej wspomniałem, gwoli prawdy.

Łączę wyrazy szacunku

*Mieczysław Voit*

**Następny numer „Odgłosów" ukaże się w czwartek 14. I. 1960 r.**

HENRYK ANDERS

**Z XIV dorocznej wystawy plastyków**

# TRUDNA RZECZ - MALARSTWO

Jest na wystawie nie zaznaczona, lecz dostrzegalna cezura. Dla jednych w tym miejscu sztuka się kończy, dla innych dopiero zaczyna. Jedni rzucają anatemę na całą sztukę nieprzedstawiającą, czyli bezideowe „wygłupy" formalizmu, drudzy — z wyżyn znawstwa — wszystko, co pachnie przedmiotowością, potępiają w czambuł jako naturalistyczny kicz.

Tymczasem, prawie jak zawsze, po obu stronach wyimaginowanej granicy uważny a nieuprzedzony widz znajdzie prace wartościowe obok nijakich i zwyczajnie złych. To dobre prace i tylko one, prawdziwe dzieła sztuki, wyznaczają rangę wystawy. Obecnej — choć tandety mrowie — chciałbym przyznać cenzurkę z plusem. Również dlatego, że demonstruje zaiste bogate możliwości środowiska, a za razem ujawnia zalety i wady każdego z wystawiających. W dyskusjach filozoficznych na wysokim szczeblu nawołuje się do kultywowania sztuki zaangażowanej, socjalistycznego, szeroko pojętego, realizmu. W przekładzie na język i mentalność lokalnych „koneserów" sprawa znakomicie się upraszcza.

Ośmielam się postawić tezę — nie nazbyt oryginalną i świeżą — że większość naszych tak zwanych realistów reprezentowanych na tej wystawie ani myśli angażować się w spory światopoglądowe. Uprawia po prostu zwykłą i niesłusznie oczernioną „sztukę dla sztuki". Nie rozwiązują oni problemów

społecznych, ale uczciwie, z potrzeby wewnętrznej, z przekonania malują, rysują, rzeźbią. Odtwarzają świat widzialny, tak jak go obserwują, a jeżeli dają niekiedy radość oczom, więcej wymagać od nich nie można i nie trzeba.

Gorsi, naprawdę szkodliwi, są pochlebcy. Ci — aby handel szedł — pracują „pod publiczkę", „pod mecenasa", świadomie stawiają na zły gust, starają się go nawet utrwalić, boć to woda na ich młyn. W zanadrzu zaś noszą zapas teoretycznych argumentów.

Na dobrą sprawę, gdyby stosować dawne, wąskie kryteria socrealizmu, tylko trzem pracom można by przypisać głębsze założenia ideowe. Niestety, na założeniach koniec.

Monumentalne w zamyśle płótna Skrobińskiego reprezentować mają sztukę walczącą. Grzyb atomowy i kule inwalidy, ślepiec na rozstajnych drogach — wydźwięk jest jasny, choć niełatwo by dzisiaj przyszło uzasadnić programowy pesymizm z czasów „Arsenału". Sposępniał jakoś radosny kiedyś i miły oku akwarelista. Szkoda tylko, że nowemu bogactwu ducha nie sprzyja ubóstwo formy. Z rozrzutnego szafowania farbą wychodzi żałosna pomyłka.

Krawczyk maluje czyściej, oszczędza palety. Równie ponuronadrealistyczny nastrój umie osiągnąć środkami bardziej prostymi. Do czego jednak zmierza, jakie wyraża idee — trudno zgadnąć. Alegoryczny „Cech kamieniarzy", którego, jak widać z autoportretu, sam jest członkiem, coś chyba będzie budować. Ale co?

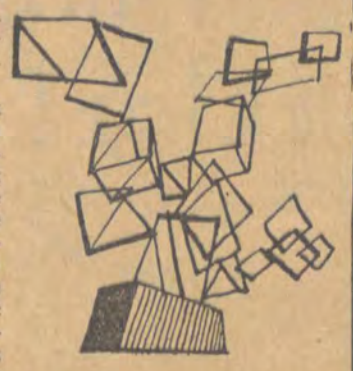

Na marginesie już raczej zanotuję, iż ideowy jest również Ulanowski, który w swojej grafice utożsamia się z Archaniołem Gabrielem. Zwiastuje widocznie nową erę mistyczną. Jaką? Obawiam się, że wyraźniej nam nie powie.

Z bezpretensjonalnych tradycjonalistów na wyróżnienie zasługuje Roman. Ten niczego nie udaje, o nic nie walczy. Jest zadowolony, że przeszedł dobrą szkołę i maluje tak, jak go nauczyli. Odtwarza impresje na temat zewnętrznej urody świata, impresje autentyczne bez domieszek filozoficznej nadbudowy.

Poduszko równie bacznie obserwuje naturę, ale interesuje się nie tyle jej wyglądem ile wyrazem. Wystrzega się pilnie deformowania, ale syntetyzuje, zaciera szczegóły, by wydobyć nastrój, ogólny ton liryczny. Stąd ściszenia, tonowanie, ujednolicenie gamy kolorystycznej. Jest to malarstwo nadal dziewiętnastowieczne, lecz w dobrym gatunku.

O krok dalej posuwa się Szajdzińska - Krawczykowa. Intencje ma podobne, szuka ekspresji pejzażu, ale właśnie dla ekspresji upraszcza formę, jeszcze bardziej scala tonację. Postępuje niewątpliwie śladami męża, lecz tam, gdzie Krawczyk wpada w koturnową ponurość, Szajdzińska wybrania się wdziękiem melancholijnej zadumy.

Ciekawe byłoby studium kobiet-malarek podlegających wpływom swoich małżonków. W jeszcze większym stopniu niż Szajdzińskiej dotyczy to Głowackiej. Mimo odmiennego temperamentu artystycznego w twórczości jej zaobserwować można wszystkie po kolei fazy poszukiwań Głowackiego. Jest oczywiście o wiele mniej agresywna, ale i tak obrazy jej odbiera się przede wszystkim jako abstrakcyjny, taszystowski niemal układ wibrujących plam, a później dopiero jako pejzaż malowany z natury. Wyczuwa się, że nie chodzi tu o ładne widoczki, lecz o działanie lśnień i migotań jakby mozaiką z klejnotów.

Zielińskiej portret dziewczyny z kapeluszem jest w środowisku łódzkim niespodzianką. Stylizowana geometryzacja rysunku, jasna ale zróżnicowana paleta — tak malują na ogół uczniowie Kapistów, absolwenci łódzkiej PWSSP wyrośli w innych tradycjach. Zielińska nie wystawiała dość dawno. Dobrze, że wraca do galerii powtórnym, jakże świeżym debiutem.

Na pograniczu działów umieszczono „Starą gwardię". Wyróżnia się tutaj — ale nie wybija — Jaeschke. Jego kameralny obraz — jeden z najlepszych na wystawie, jedno z najładniejszych dzieł artysty, uchodzi uwagi większości widzów. Delikatnie wypunktowane wibracje koloru, przeciwstawienie dwóch nakładających się motywów nikną w roztworze pierzchliwego światła galerii, gasną przy mocnych plamach bieli obu sąsiadujących prac.

I oto wkraczamy w krąg „awangardy", samych abstrakcjonistów z jednym tylko wyjątkiem.

Na skraju abstrakcji znajdują się wariacje pejzażowe Nowosielskiego, dwie etiudy w różnych tonacjach na jeden wspólny temat. Celowo używam terminów

*(Dalszy ciąg na str. 11)*

*Aleksander Fogiel jako sierżant Mitchem w „Błękitnym patrolu"* *Fot. G. Puciato*

MAREK WAWRZKIEWICZ

# „Błękitny patrol"

Nieoficjalny i przypadkowy festiwal sztuk angielskich „wściekłych" rozpoczęty bodajże przez Teatr Wybrzeża „Gorzkim smakiem miodu" S. Delaney i kontynuowany ta samą sztuką przez Teatr Lubelski, trwa.

Analizę organizacji i planowania polskiego życia teatralnego pozostawiam wyspecjalizowanym w rzucaniu gromem fachowcom. Bardzo trafnym jednak posunięciem wydaje się wystawienie przez Teatr Powszechny sztuki Willisa Halla „Błękitny patrol"*) Willis Hall, młody jeszcze dramatopisarz angielski, jest autorem wielu sztuk radiowych i telewizyjnych. Jednak dopiero „Błękitny patrol" przyniósł mu ogromny rozgłos i uznanie. Jakim walorom zawdzięcza swoje powodzenie ta sztuka?

Akcja rozgrywa się w czasie drugiej wojny światowej, 15 mil od bazy, w malajskiej dżungli, znajduje się patrol — siedmiu angielskich żołnierzy. Ludzie ci są wysłani w głąb dżungli nie wiadomo właściwie po co. Nie mogą nawiązać łączności radiowej z bazą. Chwytają jeńca — Japończyka. Orientują się w końcu, że zostali odcięci od swoich przez Japończyków, którzy przerwali front.

Istnieją w tej sztuce dwie rzeczywistości i na dwóch płaszczyznach prowadzi się tu rozmowy, myśli się i czuje. Jedna — to jest wszystko to, co było przed wojną, przed wojskiem. Ta rzeczywistość istnieje, są ludzie w Anglii, w Walii czy w Szkocji ściśle z nią związani. O tych ludziach się pamięta, mówi się o nich rzeczy najgorsze, kocha się ich i mówi się o nich miękko. Druga rzeczywistość, to jest wojna i wojsko. Tu są kaprale, regulaminy, zmęczenie przedzieraniem się przez dżunglę. Tu też jest problem najważniejszy — życie człowieka, życie własne i życie jeńca. Wątpliwość: czy wolno zabić aby ocalić swoje życie?

Dla siedmiu ludzi z błękitnego patrolu, którzy w podzwrotnikowym klimacie wspominają z czułością nawet upał, który był w ich ojczyźnie, ta druga rzeczywistość jest realna nie tylko dlatego, że jest obecnie. Ta druga rzeczywistość zmusza ich do rozwiązywania zagadnień, z jakimi może nigdy by się nie zetknęli. Dla londyńczyka, szeregowca Bamfortha, który w poprzednim, mniej realnym teraz istnieniu, bez większych wstrząsów psychicznych przeżywał drobny fakt wepchnięcia komuś noża pod żebro, staje olbrzymim problemem zabicie jeńca japońskiego, stanowiącego bagaż niebezpieczny i przeszkadzający. Rozwiązuje problem zdecydowanie: nie wolno, i jest gotów nawet z narażeniem życia bronić swego rozwiązania. Również zdecydowanie rozstrzyga ten dylemat kapral Johnstone — jego decyzja jest jednak odwrotna. Argumentem najważniejszym jest własne bezpieczeństwo. Długo nie może znaleźć swojego rozwiązania sierżant Mitchem. Musi jednak zgodzić się na zabicie, bo odpowiada za życie 6 ludzi.

Sztuka Halla jest szuką o wojnie. Nie mówi wprost: wojna jest zła, precz z wojną. Pokazuje wojnę. Ukazuje, jak już ktoś napisał, jej nędzę, jej ogrom. Człowiek to znaczy bardzo wiele tylko dla siebie. Człowiek prowadzi śmieszną, zakończoną klęską partyzantkę o życie. Przekleństwo rzucone przez kaprala Johnstona „niech was wszystkich szlag trafi" nie sięga w końcu źródeł kataklizmu. Ci z bazy są przecież tylko trybami olbrzymiej maszynerii. Nie wydaje mi się, aby można było dwojako tłumaczyć wymowę tej sztuki. Sztuki napisanej znakomicie. Jeśli można chwalić to, czego autor nie napisał, chwalę nienapisanie ani jednego słowa w roli jeńca japońskiego.

Reżyseria Romana Sykały była chyba właśnie taka jak chciał autor. Doskonałe tempo, wygranie wszystkich możliwych efektów. Zastrzeżenia mam tylko do ostatniej sceny: była zbyt głośna, za hałaśliwa, zbyt wstrząsająca aby była wstrząsająca.

Doskonały jest Aleksander Fogiel jeko sierżant Mitchem. Przejścia od wrzasku do nagłego uspokojenia, gierki w wielkiej grze, która zostaje w pamięci i znakomicie powiedziane „Bo ja, syneczku, nie stosuję się do żadnych regulaminów".

Nie umiem przyzwyczaić się do myśli, że konwencja w jakiej grany był szeregowiec Bamforh przez jak zwykle bardzo dobrego Leona Niemczyka jest najwłaściwsza. Zaskakujące i trochę nie do uwierzenia są przejścia od Bamforha w pierwszym akcie jako nienajodważniejszego fanfarona do człowieka, który gotów jest do narażenia swojego życia w obronie jeńca. Nie bardzo przekonuje mnie męskość bez odrobiny miękkości. Ale w tej konwencji utrzymał się Niemczyk bardzo dobrze.

Jeńca japońskiego, który przez półtora aktu nie mówi ani słowa gra Czesław Przybyła. I gra! Wszystkie jego reakcje są opóźnione, nic nie rozumie, wszystkiego się domyśla. Przechodzi od olbrzymiego napięcia w stan sennego odrętwienia, czeka a potem umiera z wyrazem zdziwienia i niezasłużonej krzywdy na twarzy.

I na koniec przykrość. Pan Eugeniusz Stawowski — grał bardzo dobrze tylko do ostatniej sceny. Ta, jak już powiedziałem, jest zbyt wstrząsająca. jest w niej mało umiaru, jest przerzężona, przesłaniana, prze—, prze—, prze.

*) Państwowy Teatr Powszechny, Willis Hall „Błękitny patrol", reż.: Roman Sykała, scenografia: Marian Stańczak, polska prapremiera 3 grudnia 59 r.

## Sprostowanie

**DRODZY CZYTELNICY!**

**Przedświąteczne zamieszanie było świetną okazją do harców znanej ze swej złośliwości persony — chochlika drukarskiego. Szczególnie śmiało buszował ów chochlik w naszych konkursach — w świątecznym numerze „Odgłosów".**

**I tak w Konkursie I „Czy znasz prasę łódzką?" — wydrukowano tylko o s i e m winietek, zamiast zapowiedzianych w objaśnieniu — d w u n a s t u.**

**Podobnie w Konkursie IV — zamiast podanych w tekście i na kuponie d z i e s i e c i u etykiet zapałczanych — na rysunku jest też tylko o s i e m.**

**PRZEPRASZAMY — I WYJAŚNIAMY: uznajemy za prawidłowe te wszystkie odpowiedzi, które rozszyfrują bezbłędnie o s i e m (a nie 12) winietek z konkursu I oraz o s i e m (a nie 10) etykiet z konkursu IV.**

**PONADTO — PRZEDŁUŻAMY TERMIN nadsyłania odpowiedzi konkursowych do dnia 12 stycznia 1960 r.**

**I raz jeszcze — PRZEPRASZAMY...**

# Zza kulis manii stulecia

*(Dokończenie ze str. 4)*

licji i przechować go do powrotu R." — przekonywał.

Tadeusz J. napisał więc oświadczenie, że znaczki zabrane malarzowi R. są jego własnością, co ów uczciwy filatelista w dobrej wierze poświadczył u notariusza. Na tej podstawie Tadeusz J., podówczas już „pan inspektor" znaczki z Gdańska wydobył.

Inny ze świadków stwierdza dalej, że po wyzdrowieniu malarz R. złożył skargę na Tadeusza J. do prokuratury, jednak po wizycie u pana inspektora w Warszawie nakłoniony nie wiadomo jakim sposobem, sprawę wycofał.

Wkrótce po powrocie z Warszawy malarz podciął sobie żyły...

Jego olbrzymi zbiór (ok. 300 tys. znaczków) nie został nigdy Tadeuszowi J. odebrany.

### „DWUDZIESTEGO LISTOPADA

Tadeusz J. został aresztowany u drzwi swojego mieszkania z ogromnymi zapasami znaczków, ukradzionych Kadłuczce.

Od czasu kontroli w sklepie upłynęło już dwa miesiące, ale dopiero teraz pozwolono tam wejść Kadłuczkowej, która wspólnie ze znajomymi męża ustaliła, że ze zbiorów zginęły znaczki wartości dwu milionów złotych. Okazy znalezione przy aresztowanym eksperci określili jako niewątpliwą własność zamordowanego.

Przeciwko „panu inspektorowi" wytoczono dochodzenie o kradzież. Śledztwo pozwoliło jednak wyświetlić wiele innych spraw, m. in. „gigantyczny plan":

*„Jak wykazało dochodzenie, to Kadłuczka Stanisław był jednym z najpoważniejszych filatelistów w Polsce, tak pod względem finansowym jak i fachowym i to mogło stać na przeszkodzie planom Tadeusza J., co do projektowanego przez niego utworzenia jednej wielkiej centrali filatelistycznej z siedzibą w Warszawie i filiami w Krakowie, Katowicach, Poznaniu, Łodzi i na Zachodzie, z prawem importu i eksportu znaczków. Na czele tej spółdzielni miał stanąć Tadeusz J., z przybranymi do siebie odpowiednimi ludźmi. Kadłuczka nigdy by nie dopuścił do utworzenia takiej spółdzielni bez swojego głównego udziału kierowniczego. Natomiast w razie utworzenia takiej spółdzielni bez Kadłuczki, tenże stał tak silnie na rynku filatelistycznym w kraju i za granicą, że byłby bardzo poważnym konkurentem dla niej. Przyczyny te mogły skłonić Tadeusza J. do uplanowania morderstwa Kadłuczki przy pomocy wyszukanych ludzi"* (wypis z akt sprawy).

Oczywiście, dla jasności sprawy, należy dodać, że planowana spółdzielnia miała posłużyć Tadeuszowi J. jako parawan do kantów i oszustw, a także zgromadzenia całych krajowych zapasów znaczków oraz całego handlu nimi, wyłącznie w jego ręku.

Ta wielka afera miała zostać przykryta legalnym płaszczykiem i do tego dążąc „pan inspektor", wprowadził w błąd i zjednał sobie władze skarbowe.

### PORTRET AFERZYSTY

Można podziwiać „koronkową robotę" Tadeusza J., który cierpliwie, ale z wielkim rozmachem, przygotowywał realizację swojego planu „ujarzmienia" całej polskiej filatelistyki i nie zawahał się nawet przed usunięciem Kadłuczki (tak mówią poszlaki — dowodów nie uzyskano).

Trzeba jednak wyrazić zdumienie, że jednocześnie ten sam człowiek uległ pokusie tak błahej w stosunku do swoich dalekosiężnych zamierzeń i okradł sklep Kadłuczki. Postąpił jak zwyczajny złodziejaszek, co w konsekwencji go zgubiło.

Ludzie, którzy znali go przed aresztowaniem, pamiętają go jako eleganckiego szpakowatego pana, ujmującego swoim „obejściem".

„Jestem z zawodu handlowiec bez określonej branży, to znaczy, handluję przede wszystkim znaczkami, ale również i innymi rzeczami" — określa sam siebie w zeznaniach.

Handlem przedmiotami wartości kolekcjonerskiej zajął się w 1927 roku. „Obok znaczków skupował także obrazy polskich mistrzów, starą broń, porcelanę i znajdował w tym wielkie upodobanie" — mówi o nim opinia biegłych psychiatrów. I dalej:

*„Badany charakteryzuje się tym, że lubi samotność, że kobietami w ogóle się nie interesował, nie robił wizyt, nie chodził na zabawy, natomiast największą przyjemność znajdował, gdy sam, nawet całymi nocami, mógł sortować znaczki pocztowe. O ile chodzi o rysy charakterologiczne oskarżonego, to należy wymienić manię kolekcjonowania, skłonność do zamykania się w sobie, unikanie życia towarzyskiego, łatwość wypadania z równowagi umysłowej... Nie można oskarżonego uważać za osobnika pod względem psychicznym pełnowartościowego, lecz za osobnika niedowartościowego, u którego zarówno zdolność rozumienia swych czynów jak i zdolność kierowania swym postępowaniem, były obniżone".*

I jeszcze jedna opinia, tym razem z zeznań świadka: *„Znam go około roku i wiem, że wszyscy filateliści uważali go za człowieka mściwego i zdolnego do wyrządzenia przeciwnikowi każdej krzywdy. Urazy i to urojone, pamiętał bardzo długo i często odgryzał się zemstą".*

To chyba wszystko: Zdolny i bez skrupułów kombinator dążący każdą drogą do kariery, „skażony" jednocześnie symptomami wynaturzonej manii kolekcjonerskiej, która nie pozwoliła mu pozostać obojętnym wobec wartościowego zbioru Kadłuczki i w konsekwencji zaprowadziła go na ławę oskarżonych.

Mania, którą uznano za przyczynę „niedowartościowości psychicznej", w końcu została uznana przez sąd za okoliczność łagodzącą — Tadeusz J. został skazany tylko na 4 lata więzienia.

* * *

Wydaje się dziwnym, że w trakcie dochodzenia nie zrobiono nic, by podeprzeć dowodami poszlakę, sugerującą, że Tadeusz J. był zamieszany w zabójstwo Kadłuczki. Nie postarano się nawet o zbadanie alibi oskarżonego w krytycznym dniu.

Jeszcze bardziej zaskakuje sentencja wyroku, która mówi o drugim nieujętym sprawcy (chodzi o owego urzędnika Ochrony Skarbowej, z którym Tadeusz J. podzielił się łupem), podczas gdy właśnie zeznania tego „drugiego nieujętego sprawcy" — Romana R., znajdują się w dowodach śledztwa!

Akt oskarżenia nie mówi wreszcie nic o sprawie obłąkanego malarza R. z Wybrzeża.

Z zasięgu sprawy izolowano również „rybę-pilota" naszego wielkiego rekina — wspomnianego Alfonsa P., który potrafił oszukiwać nawet najwytrawniejszych speców i wykorzystywał swoje zdolności na wielką skalę.

**ANDRZEJ ZYBERT**

# FRASZKA

# Kawiarnia, która wejdzie do łódzkich kronik

**JAN HUSZCZA**

Na wszelki wypadek już na wstępie chcę zaznaczyć, iż w konstelacji szczególnie podówczas licznych kawiarni i barów kawowych — był to lokal dość wyjątkowy. Spekulanci i szabrownicy tam się nie pojawiali — może jedynie w pojedynkę i wieczorami — a dziś, z pewnej perspektywy, śmiało można tę kawiarnię nazwać artystyczną, choć właściwa jej nazwa, wyłoniona z jakiegoś konkursu, brzmiała „Fraszka". Istniała ona kilka dobrych lat (ściśle daty niech sobie ustala ewentualny monografista łódzkich spraw!), a jej egzystencja była wyraźnie związana z przejściowym okresem największego rozkwitu życia kulturalno-artystycznego miasta.

W gmachu przy ulicy Piotrkowskiej 96 zainstalował się wówczas, po przenosinach z Lublina cały „Czytelnik".

Niepohamowane ambicje tej instytucji oraz jej szefa, Borejszy, wkroczyły także na teren konsumpcyjno - gastronomiczny: oprócz stołówki, powołano na próbę do życia spółdzielczą „Fraszkę". Na piętrach pracowało się i załatwiało sprawy, a wynikłe w związku z nimi spory i nieporozumienia przenoszono na parter, do kawiarni.

Wchodziło się do „Fraszki" od razu z bramy na prawo. Na lewo była księgarnia, potem sklep z pomocami szkolnymi. Obecnie znajduje się tam biuro reklam i portiernia. „Fraszka" — był to długi, wąski pokój o jednym, patrzącym na ulicę, oknie. W końcu pokoju znajdował się bufet i „express", obok którego schody wiodły do ocementowanego podziemia, gdzie przez pewien czas mieścił się — jako przedsiębiorstwo pomocnicze — bar. Kilkanaście stolików — obstawionych przez powleczone jakimś ciemnobordo rypsem fotele — nie zmieniało na lepsze pierwszego wrażenia, lokal bowiem wyglądał jak poczekalnia u dobrze prosperującego dentysty. Zresztą, różni bywalcy z różnych powodów tam właśnie czekali: kto na wydanie swojej nowej książki, kto na korektę artykułu, kto na redaktorów, kto na znajome... Niektórzy już dawno doczekali się ogólnopolskiego uznania, inni — może nawet zapomnienia.

Jakieś szlachetniejsze piętno nadawały „Fraszce" chyba tylko rozwieszone na ścianach kolorowe rysunki samego Zaruby z dowcipnymi dystychami, zachęcającymi do towarzyskiego picia kawy, jak na przykład:

*„Przyjemności wiele stąd:*
*mała czarna, duża... blond!"*

Kawa, trzeba to śmiało powiedzieć, nie była tam najlepsza. Tedy o powodzeniu lokalu decydował fakt, iż nad nim właśnie mieściły się owe wszystkie wspomniane agendy szybko rozwijającego się „Czytelnika" włącznie z zarządem... własnej komunikacji autobusowej na trasie Łódź — Warszawa. Decydowało prawdopodobnie i coś jeszcze, ale właśnie co?

Powodzenie pewnych lokali należy chyba, mimo wszystko, do metafizyki. W każdym bądź razie, nigdy nie da się zaplanować, przewidzieć i ustalić.

Dziś widać w sposób aż nadto oczywisty, jak właśnie „Fraszka" była ściśle związana z życiem kulturalnym tamtych lat: gdy to życie wpłynęło w łożysko bardziej dla Łodzi, naturalne, „Fraszka" zaczęła przeżywać kryzys, aż wreszcie z jakichś względów handlowo - dystrybucyjnych (prawie zawsze wrogich wszelkiej tradycji) została zlikwidowana. Niedobitki z tej kawiarni rozproszyły się po innych, a niektórzy spośród nich w ogóle przestali dokądkolwiek uczęszczać, czas przeznaczony na „Fraszkę" poświęcając spacerom po chodnikach Piotrkowskiej i rozpamiętywaniom, oczywiście, smętnym raczej.

Dziś z żalem myślę o pewnym istotnym zaniedbaniu „Fraszki": nie było tam żadnej księgi pamiątkowej. Gdyby ją ktoś we właściwym czasie na którymś stoliku położył, zawierałaby chyba aż nieprawdopodobną ilość nazwisk, bardzo znanych i mniej znanych, ale z całej Polski. Zawierałaby prawdopodobnie dowcipy i uwagi, sentencje i powiedzonka, rysunki i karykatury, często — rzecz zrozumiała — absolutnie niecenzuralne.

Cóż, nikt z nas wtedy nie wpadł na ten pomysł!

We „Fraszce" odbywały się — te, nieoficjalne — narady redakcyjne zespołu „Kuźnicy" (z Pawłem Hertzem, Mieczysławem Jastrunem, Janem Kottem, Ryszardem Matuszewskim, Adamem Ważykiem, Adolfem Rudnickim, Kazimierzem Brandysem i in.), którym przewodniczył właściciel potężnej tuszy i nie mniej potężnego organu głosowego, Stefan Żółkiewski.

Pokazywała się tu Pola Gojawiczyńska, zjawiał się bawiący przejazdem Jarosław Iwaszkiewicz, przyłaził — acz niechętnie — Artur Sandauer, czuwali Żuławscy: Juliusz i Mirosław, szukał okazji do psioczenia popularny w Łodzi malarz, Konstanty Mackiewicz, ze szczególnym upodobaniem malujący lasy.

Przy innym stoliku czekali na swoich autorów i karykaturzystów redaktorzy bardzo wtedy żywych „Szpilek" — St. J. Lec i Leon Pasternak.

Przy jeszcze innym skupiali się współpracownicy, a zwłaszcza — współpracowniczki pism dla dzieci — „Świerszczyka" i „Przyjaciela" — z ukosa patrzący na Jana Brzechwę, który ich zdaniem był w swoich wierszach dla dzieci za... lekki i dowcipny.

Przychodził w większym gronie ludzi teatru Leon Schiller...

Przy oknie — bo lokal zawsze był dość mroczny — czytywał nam swoje najnowsze wiersze Władysław Broniewski, który właśnie niedawno wrócił z tułaczki po obczyznach.

Chętnie zaglądali do kawiarni aktorzy i aktorki, jak Jadwiga Gosławska, Ewa Bonacka i Danuta Szaflarska, Jan Kurnakowicz i Kazimierz Rudzki, Michał Melina i Adolf Dymsza; a także przedstawiciele nauki i filmu, dziennikarstwa i medycyny, wreszcie autentyczni łodzianie, jak Marian Piechal.

Spotykało się tu też K. I. Gałczyńskiego, który we „Fraszce" spędził kilka, obficie alkoholem zakrapianych, wieczorów.

We „Fraszce" przeżyłem połączoną ze wzruszeniem radość osobistego poznania Juliana Tuwima, gdy przyjechał do rodzinnego miasta, miasta dzieciństwa i lat gimnazjalnych po wspomnienia.

* * *

Bywalcem „Fraszki", zasługującym na szczególne w tym miejscu uwzględnienie, był wybitny rysownik i karykaturzysta, Kazimierz Grus (1885—1955). W Łodzi zjawił się wkrótce po wyzwoleniu miasta i od razu nawiązał kontakt ze „Szpilkami".

Był niewątpliwie wyjątkowo barwnym i rasowym przedstawicielem tego, co się potocznie określa słowami „cyganeria artystyczna". Znakomity karykaturzysta zwierząt, udzielał się w książeczkach dla dzieci, pisywał felietony, a jednocześnie współpracował na obszarze danych sobie lat z tyloma pismami polskimi, iż jego ewentualny biograf — jeśli taki kiedy się znajdzie — stanie przed niezwykłymi trudnościami, związanymi z wytropieniem wszystkich przejawów artystycznej działalności Kazimierza Grusa, zwanego przez znajomych, bez względu na różnicę wieku, Kaziem. Był bowiem człowiekiem ufnym i dobrodusznym, niezwykle łatwo wszystkich dopuszczał do poufałej zażyłości.

Natura obdarzyła go hojnie nie tylko talentem, ale także krzepą i zdrowiem. Był niestrudzonym konsumentem wyrobów tytoniowych (palił zarówno fajkę jak i papierosy), nie zaniedbywał i wyrobów spirytusowych, znajdując kompanów w rozmaitych sferach i środowiskach, z czego niekiedy wynikały nawet i awantury.

W Łodzi niezbyt mu się zresztą wiodło! Nie miał za grosz sprytu i zmysłu komercyjnego. Mieszkał z żoną w klitce na piętrze przy Piotrkowskiej 26. Kiedy otrzymał nagrodę państwową... III stopnia, to część pieniędzy wydał na konserwy, aby mieć co jeść na wypadek finansowej posuchy. Niestety, jakość naszych konserw nie stała wówczas (a czy dziś stoi?) na odpowiednim poziomie i wkrótce zapasy zaczęły się psuć. Kazio co pewien czas ostrożnie wynosił na podwórko podejrzane puszki. Rzeczywiście, nie trzeba było długo czekać na wybuchy. Z tego powodu jakiś nadgorliwy sąsiad omal nie oskarżył go o przechowywanie materiałów wybuchowych!

Ani wydawnictwa, ani prasa — zwłaszcza ta łódzka — nie umiały na ogół docenić i we właściwy sposób wykorzystać bujnego aż do końca nie tkniętego uwiądem talentu Kazimierza Grusa. „Głos Robotniczy" dopiero po śmierci artysty zamieścił reprodukcję jego rysunku, otrzymaną wraz ze wspomnieniem pośmiertnym z... warszawskiej agencji prasowej! A przecież właśnie Grus — autor zabawnych i komunikatywnych rysunków — mógłby się stać ulubieńcem łódzkich robotników...

* * *

W tym samym roku i w tym samym miesiącu co Grus (o kilkanaście dni wcześniej) tragiczną śmiercią zmarł inny bywalec „Fraszki" — Jerzy Wyszomirski, który w Łodzi również znalazł się wkrótce po wypędzeniu Niemców, startując jako felietonista „Rzeczypospolitej".

„Wysz" uprawiał z powodzeniem nie tylko felieton dziennikarski. Pozostawił po sobie wiele essayów i dociekliwych artykułów oraz olbrzymi dorobek przekładowy zwłaszcza z klasyków rosyjskich. Tłumaczył przecież Leskowa, Gogola, Aleksandra Ostrowskiego, Szczedryna, Hercena, Lwa Tołstoja i Gorkiego.

Gdy w Wilnie władze sanacyjne w atmosferze nie byle jakiej nagonki zlikwidowały nasze lewicowe pismo „Po prostu" — on w „Wiadomościach Literackich" wystąpił jako człowiek rozumiejący buntującą się młodzież, sprzymierzający się niejako z nią.

Widzę także w tej chwili zdemolowaną przez oenerowskich korporantów redakcję wileńskiego „Kuriera Powszechnego", którego byłem luźnym współpracownikiem, a w którym „Wysz" drukował pełne pasji felietony przeciwko antysemityzmowi.

Rzetelny erudyta, z umiłowaniem literatury ojczystej łączył wielką znajomość i przywiązanie do klasycznej literatury rosyjskiej i zachodnioeuropejskiej. Dzieła i życie wielu pisarzy były nieraz tematem jego rozmów nawet przy kieliszku. Rozmówca był wyjątkowo interesującym, choć naszpikowanym złośliwościami. Kult rozmowy dowcipnej, nasyconej myślą, wciągającej partnera, zmuszającej do kontrowersji — miał w nim swojego nie byle jakiego praktyka.

Szczupły, o ascetycznej twarzy, o inteligentnych oczach ze szkłami okularów — był chyba, choć jest to zestawienie trochę przypadkowe, przeciwieństwem Grusa. Niewiele ujawniał pogody, bliższy był zgryźliwości, chętnie oddawał się ponurym rozważaniom o śmierci.

Trzeba przyznać, że miewał i obiektywne do zgorzknienia powody: zwłaszcza w Łodzi nie dostrzegano go, mało też mówiono o jego przekładach; choć ciężko pracował nieraz borykał się z trudnościami materialnymi.

* * *

Nad dawnym wejściem do „Fraszki" już nawet zatarł się ślad po literach. Wewnątrz połączonego z sąsiednim pomieszczeniem lokalu mieści się duży sklep „Delikatesy". Po wyjściu ze sklepu, do którego wszedłem pod pretekstem kupienia paczki papierosów — zatrzymuję się przed dawnym, przebudowanym oknem „fraszkowym". W oknie pudełka z kawą i butelki z różnobarwnymi napojami...

Naraz to wszystko znika sprzed oczu i znów widzę przez oszronioną szybę ożywione twarze ludzi z tamtych, dalekich lat...

(Dokończenie z poprzedniego numeru)

Nikt jednak nie powinien sobie wyobrażać, że Coca-Cola Company z siedzibą w Atlancie, w USA, zabiera cały zysk płynący z Coca-Coli. Towarzystwo bardzo zapewne by takiego stanu rzeczy pragnęło, ale jest to niemożliwe. Na przykład oblicza się, że w NRF, na każdy dolar zarobiony bezpośrednio przez Towarzystwo przypada szesnaście dolarów zarabianych przez miejscowych producentów, tak zwanych „butlarzy" — czyli właścicieli rozlewni. Tak się bowiem złożyło, że gdy Coca-Cola Company znajdowała się w początkowym stadium rozwoju, ktoś inny zapewnił sobie prawo butelkowania płynu. Towarzystwo nie zajmuje się obecnie ani butelkowaniem, ani dostarczaniem płynu konsumentom. Ono dostarcza tylko rozlewniom syropu, który jest tam mieszany z wodą sodową, w ściśle określonej proporcji. Butelki, kapsle, woda sodowa, maszyny do butelkowania i kapslowania — to wszystko nie obchodzi Towarzystwa. Natomiast kształt butelek, kolor kapsli i krój napisów, sposoby reklamowania i treść reklam, nawet kolor i kształt skrzynek, w których dostarcza się butelki do sprzedawców — to wszystko jest uregulowane szczegółowymi przepisami wydanymi przez Towarzystwo. Nie wolno od tych przepisów odstąpić. A dlaczego, o tym się zaraz przekonamy.

### NAPÓJ KRÓLÓW I — KRÓLOWIE NAPOJU

Wśród butlarzy istnieją mali przedsiębiorcy, mający jedną zaledwie rozlewnię, ale są i prawdziwe rekiny, kontrolujące całe obszary Stanów Zjednoczonych lub innych krajów, posiadające kilkaset rozlewni. Oficjalny slogan Towarzystwa brzmi: ktokolwiek dotknie się Coca Coli robi złoto! I jest to w wielu wypadkach prawdziwe.

Towarzystwo wydaje własne pisma przeznaczone bądź to dla butlarzy, w celu „dzielenia się doświadczeniami", dla szerokich rzesz konsumentów.

W roku 1958 Towarzystwo sprzedało dwieście milionów galonów syropu (galon USA-3,79 litra). Jest to ilość wystarczająca, aby napełnić 25 miliardów butelek Coca-Coli. Dwie trzecie tej ilości zostało wchłonięte przez ludność USA.

Co dzień wypija się na świecie około 60 milionów butelek Coca-Coli. Na biurkach dyrektorów Towarzystwa, stoją w biurach w Atlancie małe klepsydry, na których widnieją napisy: **„Za każdym razem, gdy przesypie się piasek, na świecie wypija się następne sto dwadzieścia tysięcy porcji naszego napoju".**

W prasie ukazało się zdjęcie czterech córek królowej holenderskiej na jednym z przyjęć — każda z butelką Coki w ręku. Pija ją król Hussein Jordański, prezydent Eisenhower i prezydent Nasser. Prezydent Filipin Carlos Romulo, który był swego czasu przewodniczącym Zgromadzenia Ogólnego ONZ, poświęcił Coca-Coli ciepłe wspomnienie w swych pamiętnikach z okresu walk przeciw Japończykom. Znanym wielbicielem tego napoju jest były król egipski Faruk. Każdy nocny lokal w Kairze rezerwował swego czasu stolik, na wypadek, gdyby król zjawił się nagle — a zjawiał się często. Przy stoliku stał zawsze gotowy srebrny kubełek, w którym mroziła się w lodzie Coca-Cola.

Japońskie radio próbowało podczas wojny złamać morale amerykańskiej piechoty morskiej nadając przez okrągłe dwadzieścia cztery godziny audycje poświęcone rozkoszom picia Coca-Coli. Działo się to w czasie, gdy żołnierze piechoty morskiej szturmowali w piekielnym, tropikalnym skwarze Wyspy Salomona. Japoński speaker torturował ich pytając słodziutkim głosem: **„Czy słyszysz, jak lód dźwięczy w szklance?"**

Istnieją prawdziwi rekordziści picia brunatnego płynu. Bezkonkurencyjnym jest chyba pewien handlarz samochodów z Memphis w USA, który przez pięćdziesiąt lat wypijał po dwadzieścia pięć butelek dziennie, a zdarzało mu się czasem wypić i pięćdziesiąt. Oświadczył on, że brał udział w pogrzebach pół tuzina lekarzy, którzy ostrzegali go, że jego postępowanie jest zabójcze dla zdrowia...

### ZDECHŁE GLISTY W ŚWIETLE PRAWA

Ale Coca-Cola Company ma także i wrogów. Najgroźniejszymi spośród tych wrogów byli oczywiście konkurenci, którzy próbowali podrobić napój i podbić rynek wykorzystując popularność Coca-Coli. W tym celu chwytali się oni rozmaitych tricków. Najczęstsze było puszczanie na rynek jakiegokolwiek płynu pod zbliżoną nazwą. I tak w ciągu kilkudziesięciu lat zanotowano następujące nazwy: „Rock Spring-Colę", „Dextra-Colę", „King-Colę", „Vera-Colę", „Chero-Colę", „Taka-Colę", „El-Colę", „Mixo-Colę", „Cleo-Colę", „Polo-Colę", „Polar-Colę", „Roxa-Colę", „Ronricolę", „Dixi-Colę".

Przeciwko wszystkim tym naśladownictwom Towarzystwo Coca-Coli prowadziło długie i bardzo skomplikowane sprawy sądowe, wygrywając je wreszcie i niszcząc doszczętnie konkurencję. Jeśli chodziło o proste naśladownictwa, sprawy były stosunkowo łatwe. Wyrobyby Coca-Cola Company chronił przecież patent. Bardziej skomplikowana stawała się sprawa, gdy konkurent nazywał podobną nazwą zupełnie inny wyrób. Wówczas prawnicy Coca-Coli musieli dokonywać nie lada gimnastyki. Chodziło bowiem o to, by zniszczyć konkurenta nie oskarżając go jednocześnie o to, że używa mylącej nazwy. Nie należało bowiem stwarzać niebezpiecznego precedensu. Coca-Cola Company obawiała się, że mogłaby na tej zasadzie zostać z kolei sama oskarżona. Jak wiadomo — nazwa Coca-Cola jest myląca: pochodzi ona z pierwszego okresu produkcji, kiedy liście koka i orzeszki kola były podstawowym jej składnikiem.

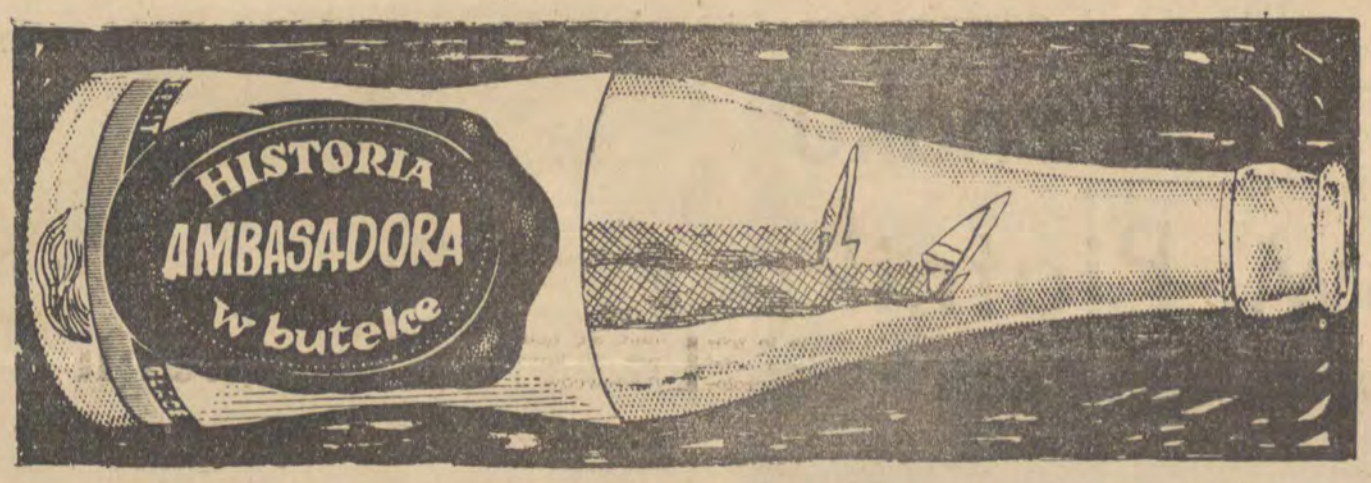


Innego typu wrogiem Towarzystwa, wrogiem, który stoczył już z nim setki bitew, są drobni naciągacze. Co roku dziesiątki ludzi zgłaszają się do sądów z rozmaitymi pretensjami przeciw Towarzystwu. Wymyślają oni niestworzone historie. A to, że znaleźli w butelce muchę, a to, że jadowitego pająka, a to że żabę. Byli nawet znalazcy zdechłych myszy — i co już zakrawało na kpiny — żywych, a jadowitych stworzeń. Rozlewnie Coca-Coli znane są na całym świecie z przestrzegania zasad higieny. Towarzystwo kontroluje to skrupulatnie. Ale, Towarzystwo nie przeczy także, iż czasem, być może — zdarza się i to, że w płynie znajdzie się utopiona mucha, jakkolwiek nie może być mowy o żadnych jadowitych, a do tego jeszcze żywych stworzeniach.

Gdyby Towarzystwo nie przyjęło jednak bezkompromisowej postawy, precedens przegranej sprawy mógłby się stać niebezpieczny. Każdy ze skarżących domaga się wysokiego odszkodowania za krzywdy moralne, jakie poniósł znajdując zdechłą mysz, a także za zagrożenie zdrowia, którego szczęśliwie uniknął. Prawnicy Coca-Coli wydali więc znalazcom zdecydowaną wojnę i wygrali ją w sposób, na który mało który prawnik mógłby się zdecydować. Zaczęli oni mianowicie demonstrować, że w znaleziskach nie kryło się żadne niebezpieczeństwo. Procesy, podczas których prawnicy Coca-Coli pożerali glisty, muchy i rozmaite robaki stały się sławne w całych Stanach Zjednoczonych. Największą sławę zyskał sobie Perry Wilbur Fattig, który przez wiele lat występował jako koronny świadek obrony w tego rodzaju procesach. Zjadł on ponad dziesięć tysięcy tego rodzaju obrzydliwości. Inny świadek wypił butelkę Coca-Coli, w której pływała zdechła mysz. Po wypiciu, wytarł usta i powiedział:

— Miała trochę mysi smak...

### JĘZYKOZNAWCY MADE BY COCA-COLA CO.

Życie prawników Coca-Coli nie należy do łatwych. Przez długi czas toczyła się sprawa przeciwko firmie, która używała na określenie produkowanego przez siebie napoju nazwy „Coke". Tajemnica polegała na tym, że w popularnym żargonie amerykańskim tak właśnie brzmi skrócona nazwa „Coca-Coli". Towarzystwo przedstawiło sądowi setki świadków, dołączyło dziesiątki książek, w których użyto tego słowa, wraz z zeznaniami pisarzy, że mieli na myśli „Coca-Colę". Ponadto dołączono setki zeznań czytelników, którzy zaświadczali, że tak właśnie odczytali myśl autorów. Wreszcie Coca-Cola sprawę wygrała i opatentowała swą żargonową nazwę, co jest chyba jedynym na świecie wypadkiem tego rodzaju.

Aby się na przyszłość uchronić od podobnych przypadków, firma powołała do życia specjalny departament semantyczny, zajmujący się studiami językowymi i śledzący, czy ktoś, gdzieś, czasem nie próbuje podszyć się pod nazwę Coca-Coli.

To także nie ma chyba odpowiednika na świecie.

### COCA-COLA I SPRAWY ŻYCIA POZAGROBOWEGO

Istnieją także inne kłopoty. Kiedy wprowadzono Coca-Colę w krajach muzułmańskich, przeciwnicy napoju (fabrykanci różnych lemoniad itp.) puścili pogłoskę, że gliceryna zawarta w tym napoju jest wytwarzana ze świńskiego tłuszczu, zaś mahometanom religia zabrania spożywania świniny pod wszelką postacią. „Coke" zastała zagrożona bankructwem na tym terenie. Jednak chytrym agentom Towarzystwa udało się zaaranżować publicznie scenę, w której sułtan (obecny król) Maroka wypił butelkę Coca-Coli. Zrobione wówczas zdjęcia rozpropagowano szeroko łamiąc w ten sposób opór prawowiernych wyznawców Proroka.

W Europie Coca-Cola stała się przedmiotem niezliczonych dowcipów. Mówiono o Koka-kolonizacji, o nowej chorobie zwanej „Coca-colitis", twierdzono, że napój ten chce podminować kościół katolicki, a pewne pisma włoskie twierdziły, że w czasie audiencji prezesa Korporacji Eksportowej Coca-Coli u papieża Amerykanin usiłował nakłonić papieża, aby udzielił zgody na zastąpienie wina mszalnego Coca-Colą, zaś słów „Dominus Vobiscum" słowami: Pijcie Coca-Colę!

Do licznych przeszkód, jakie musiała pokonać Coca w swym podboju wielkiej części świata zaliczyć więc trzeba także przeszkody natury religijnej.

W Polsce, jak wiadomo, od czasu reportaży Putramenta z USA, Coca-Cola przestała być słowem wyklętym. Obecnie jedna ze spółdzielni produkuje płyn zbliżony do niej nieco, pod nazwą „Extra Cola". W Ameryce owa spółdzielnia zapłaciłaby tak wielkie odszkodowanie, że musiałaby zwinąć interes. Główny jednak szkopuł polega na tym, że napoje typu Coca-Coli trzeba bezwzględnie podawać prosto z lodu, natomiast w naszych kawiarniach podaje się „Extra-Colę" w stanie ciepłym przez co nie ma ona szans zrobienia kariery, gdyż jest nie do picia...

* * *

Tak przedstawia się w wielkim skrócie historia zdumiewającej kariery brunatnego napoju orzeźwiającego, który z jednej z wielu lemoniad stał się ambasadorem amerykańskiej cywilizacji.

W swym zwycięskim pochodzie starł on na miazgę wszystkich konkurentów. Wszystkich, z wyjątkiem jednego...

Prócz Coca-Coli istnieje bowiem inny jeszcze napój, który łokciami rozpiera się na rynku światowym i uzyskał prawie równie dużą popularność, jak swój wielki rywal. Nazywa się on „Pepsi-Cola". Jest to jedyna „Cola", która przetrwała długą i kosztującą obie strony wiele milionów dolarów wojnę z Coca-Colą.

Ale, by opisać historię Pepsi-Coli trzeba dodatkowych dwóch odcinków, na które doprawdy już nie ma miejsca...

(na podstawie materiałów z „The New Yorker").

opracował
**Kazimierz Dziewanowski**

Powiedzonka zebrał i grających podglądał E. KUDAJ

# BRACTWO spod znaku św. Piatnika

**MOTTO:**
Pozwól mnie dobrotliwie myśleć zdrowo i prędziutko i przestrzegać Culbertsona od początku aż do skutku

*Pierwsza w brydżu zasada spojrzeć w karty sąsiada*

*Kibic cichy i bezbronny, a tu karta emerytalna*

*W co tu zagrać, żeby się nie zbabrać*

*Z diabłem spółka, czy co? Nic tylko trefelki — kolorek niewielki*

# TRUDNA RZECZ -MALARSTWO

(Dokończenie ze str. 7)

muzycznych — skojarzenia są nieodparte: nawet w konstrukcji, w organizacji współbrzmień koloru malarz dąży do harmonii. Nowosielski ogląda pejzaż oczami średniowiecznego prymitywa, sieneńczyka z czternastego stulecia wzbogaconego o całą sumę doświadczeń dalszych sześciu wieków malarstwa. Odrzuca wszelkie ozdobniki, wszelkie smaczki, wszelkie naśladowanie głosów natury. Z wyrafinowaniem chce być i jest uroczo naiwny.

Tak się dziwnie złożyło, że Wegner wystąpił z myślą podobną, dał dwa warianty jednego tematu. Mimo woli nasuwa się konieczność konfrontacji. Zwłaszcza że mamy tu dwie postawy skrajnie przeciwstawne, dwa różne źródła inspiracji.

Nowosielski odwołuje się do widza, szuka odrodzenia sztuki w jej zalążkach, składania głowę przed intuicją dziecka lub prymitywisty. Wegner dąży do absolutu, pragnie doskonałości dzieła, opiera się o współczesność, o naukę, jest mózgowcem, odtrąca irracjonalne natchnienia. Mógłby obejść się bez widzów, potrzebni mu są tylko dla sprawdzenia, jak dalece opanował prawa rządzące psychiką ludzką.

Wegner komponuje zmienność, ideę ruchu, w odmiennych koloryzacjach bada siłę oddziaływania, szuka formalnych odpowiedników dynamiki w stanie klarownym. Nie są to rozważania jałowe, tylko trochę suche, przeintelektualizowane.

Nowy kontrast. Płótna Głowackiego eksplodują napięciem emocji, porywają czystą materią malarską — witalnością koloru, ruchliwością faktury. Ortodoksyjny taszyzm, jaki uprawia Głowacki, wydaje mi się kierunkiem bez większej przyszłości, ale traktując na serio i stale pogłębiając poszukiwania, artysta osiąga więcej niż maestrię — indywidualną siłę wyrazu.

W obrazach Pisarka spostrzega się pewną dwoistość: dyscyplina wewnętrzna, potrzeba rygoru i konstrukcji idzie w paragon z intuicyjnym osłabianiem działania czystych jakości zmysłowych. Wyszukane zestawienia koloru, skomplikowane rytmy zmuszają do wysnuwania z amorficznych układów jakichś nieuchwytnych skojarzeń przedmiotowych. Pobudza to wyobraźnię widza, ale jednocześnie zostawia wrażenie niedookreślenia, niedopowiedzenia, jakby przypadkowości. Jest to malarstwo trudne do sklasyfikowania, może aż hermetyczne w swej instynktownej niepowtarzalności.

Łatwo natomiast umiejscowić malarstwo Tyszkiewiczowej: typowe „informel" w odmianie dramatyczno-ekspresyjnej. Mocne, białoczarne zestawienia z drobnymi przebłyskami koloru podniecają widzów. I słusznie, niesłuszne są tylko porównania z hłaskoidalną, czarną literaturą. Nie chodzi tu bowiem o negację rzeczywistości, jak dorozumiewują się wulgarni interpretatorzy, lecz o wyrażenie wspólnego wszystkim humanistom niepokoju.

Jaśkiewicz, Łobodziński, Pierzgalski mają wszystkie zalety rasowych malarzy — technikę, kulturę, temperament. A mimo to, stawiają sobie cele minimalistyczne: ograniczają się do eksploatowania, prawda kulturalnego, istniejących już, wypróbowanych konwencji. Z młodych eksperymentuje tylko Zieliński.

Polerowany metal, skontrastowane powierzchnie. Wszystko gra kolorami, mieni się, efekty daje ciekawe, czasem zaskakujące, jeszcze długo można je wzbogacać i urozmaicać. A jednak jest w tym coś schyłkowego. Może to koniec malarstwa, a może koniec epoki metalu. Wyparty przez lepsze materiały z tworzywa użytkowego przekształca się w czysto zdobnicze.

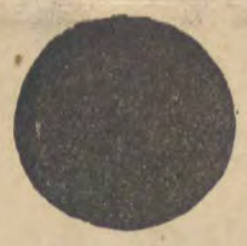

**HENRYK ANDERS**

Redaguje Zespół ○ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ○ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79 ○ Warunki prenumeraty: miesięcznie 4.– zł, kwartalnie 12.– zł. ○ Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ○ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk RSW „Prasa" — Łódź Żwirki 17 Z. 3993. XII. 59. R-4

# *Najostrzejsze ołówki świata*

## BAJECZKI BARBE-ROUSSE'A

Barberousse, który należy do najstarszego pokolenia francuskich humorystów — jest uważany ze wynalazcę pewnego gatunku żartu rysunkowego. Bohaterami jego dowcipów są wyłącznie zwierzęta, psy, koty, ptaki, nawet świnie. Nigdy ludzie — Barberousse podobno od lat nie narysował postaci człowieka.

Tu jednak tkwi istota komizmu tych miniatur. Zwierzątka Berberousse'a zawsze w każdej sytuacji zachowują się jak ludzie. Mają te same troski, radości, obyczaje — i potrafią nawet ze sobą rozmawiać.

Taka jest zresztą zasada bajki. Żarty francuskiego rysownika nie są bowiem niczym innym, jak rysowanymi bajkami. Powstały na pewno pod wpływem kreskówek disneyowskich, lecz Barberousse ma zadanie znacznie trudniejsze: musi przedstawiać komiczne zdarzenie w jednym tylko rysuneczku.

Bajeczkom tym brak najczęściej morału — ale są za to bardzo wesołe. I choć nie budzą gromkiego śmiechu — potrafią zawsze wywołać przynajmniej uśmiech i sympatię dla cudacznych kłopotów cudacznych zwierzątek.

**J-ert.**

*— Jeśli mamy odrobinę szczęścia, to ten kot jest jaroszem...*

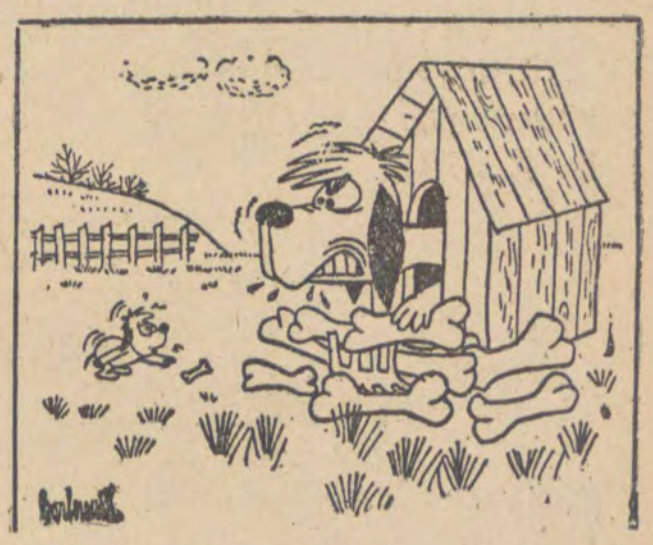

*— Ta mała kosteczka też jest dla ciebie?*

*— Dziękuje, wiem! To zwykle zaczyna się od koniaku a kończy na jajkach!...*

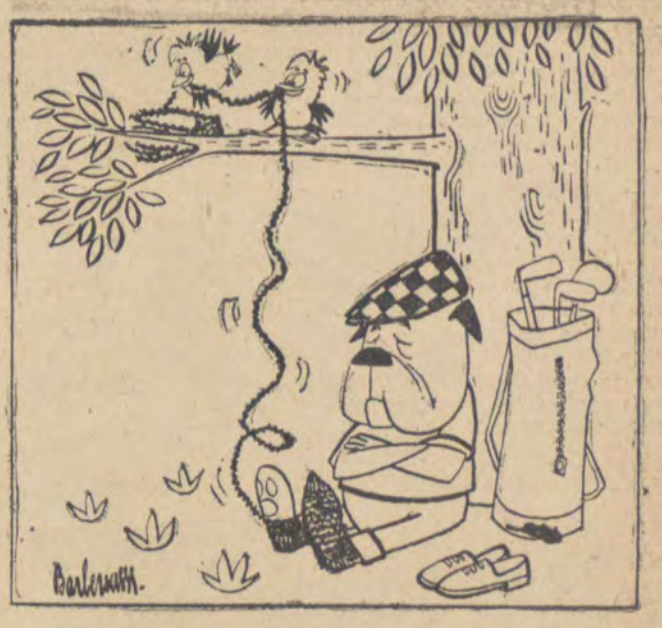

*Bez podpisu*

## NASZA KRZYŻÓWKA

**Poziomo** — 1) Mały nożyk chirurgiczny, 6) Ajer, kalmus, 9) Tułów posągu, 10) Mina układ postaci, postawa, 11) Miasto między Lwówkiem i Zgorzelcem, 12) Słuszność, 14) Metal, 16) Narodowość europejska, 17) Członek baletu, 18) Polecenia.

**Pionowo** — 2) Coś kwaśnego, 3) Pnącza, 4) Odległość między dwoma postojami w czasie marszu, 5) Warszawa, 6) Żołnierz ze straży przybocznej wybitnych osobistości, 7) Dawna broń, 8) Potrawa z jarzyn, 13) Konik, 15) Kolor w kartach, 16) Rozwaliny, rumowisko.

**Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.**

**Rozwiązanie krzyżówki**

**Poziomo** — kolia, polewa, korpus, stok, muza, konew, kromka, akacja, chryzantema, Maroko, gazela, wigor, kask, kosz, konwój, jabłko, Agata.

**Pionowo** — porter, werk, kaczka, aktywa, gram, rucząc, kontrafagot, kilim, korek, krepa, arena, Aragon, owacja, gracja, liszka, kawa, Kuba.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. **Aldona Trzeciakowska**, Pabianice, ul. Warszawska 121 m 3.
2. **Jan Szczypczyński**, Łódź, ul. Żwirki 20 m. 17.

MATEUSZ DZIEWISZ

# „NOC SASKA" -PO RAZ DRUGI

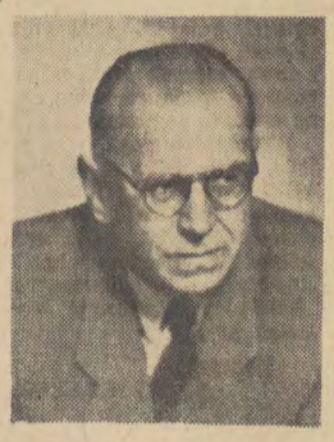

*Władysław Rymkiewicz*

Interesującym studium (gdyby takie kiedyś zostało napisane) byłoby prześledzenie opinii i sądów krytyków i recenzentów o współczesnych pisarzach i ich utworach i jednoczesne zbadanie jaką u czytającej publiczności utwory te zajmują pozycję. Właściwie to chyba zawsze w dziejach literatury istniał rozdźwięk pomiędzy sądami ferowanymi przez krytyków i recenzentów, a wręcz przeciwstawnym stosunkiem do literatury czytającej publiczności.

Większość krytyków i recenzentów, stawiając się ponad (w swoim mniemaniu) twórcą powieści czy tomu wierszy, zamiast informować czytelnika, kieruje przede wszystkim swoje rzeczywiste czy urojone pretensje pod adresem twórcy. Tak, jakby krytyka miała rzeczywiście decydujący wpływ na twórcę. Z doświadczenia zaś przeszłości wiemy, że jedynie tylko nieliczni z pisarzy ulegali sugestiom i presji krytyki. Podobne myśli nachodziły mnie przy lekturze powieści Władysława Rymkiewicza „Noc saska"*) Pierwsze wydanie tej powieści zostaje wyczerpane i — zważywszy trudności zbytu książek z jakim boryka się niejeden wydawca — czytelnik dostaje do rąk drugie wydanie powieści. Jest zatem w powieści Rymkiewicza coś, co wbrew niezbyt nawet przychylnym recenzentom musiało jakoś zainteresować pewien krąg czytelników. Powiedzmy od razu, że niewątpliwą zaletą tej książki jest nie tylko przełamanie pewnych utartych konwencji tematycznych powieści historycznych, ale — co może nie mniej istotne dla percepcji utworu przez pewne kręgi czytelników — wprowadzenie heroicznego ludowego bohatera, jakim w powieści Rymkiewicza jest lud kurpiowski. Mieliśmy w naszej literaturze historyczne powieści szlacheckie (w tym znaczeniu, że bohaterem zbiorowym była szlachta), mieliśmy historyczne powieści mieszczańskie i historyczne powieści klasowe (Leon Kruczkowski). Powieść Władysława Rymkiewicza nazwać by można historyczną powieścią ludową.

Powieść Rymkiewicza jest właściwie zbeletryzowaną kroniką wydarzeń z okresu panowania króla Augusta II Sasa. Okresu, w którym zawołaniem politycznym obozu magnacko-szlacheckiego było samobójcze dla politycznej egzystencji państwa hasło: „Polska nierządem stoi". Okresu kiedy ziemie Rzeczypospolitej łupiły armie szwedzkie, saskie, rosyjskie, wzywane przez zwalczające się grupy magnaterii. To czas panowania dwóch królów, czas wojny domowej, ciemnoty i zacofania, zdziczenia obyczajowego i moralnego. A jednocześnie czas bohaterskiego zrywu wolnych Kurpiów, którzy nie bacząc na krzywdy jakich doznali od szlacheckiego państwa dają, jeśli tak można powiedzieć, pokazową lekcję patriotyzmu. Nadmierna wierność historycznym faktom, która decyduje o powodzeniu powieści w tych kręgach odbiorców, o których już pisałem, stanowi też o jej kompozycyjnych niedostatkach. Brak jest „Nocy saskiej" większego, epickiego oddechu, co może zakrawać na paradoks, zważywszy, że powieść Rymkiewicza jest swego rodzaju panoramą mającą ambicje objęcia możliwie największej ilości wydarzeń. To chyba także między innymi zadecydowało o pewnej anemiczności postaci pierwszego planu powieści. Lepiej, o wiele lepiej wypadły postacie drugoplanowe czy nawet epizodyczne. Np. Szoel — Żyd karczmarz.

Obok świetnych niezależnie od ich literackiej koneksji scen (np. pełne dramatyzmu sceny partyzanckiej walki Kurpiów, czy kapitalne sceny swatów z ich niefortunnym zakończeniem) znajdujemy w tej powieści partie w których wyraźnie czuje się literacką robotę. Jak choćby ta z obozu szwedzkiego, w której autor, tak jak na scenie teatralnej oświetla twarze dwóch szwedzkich żołnierzy złorzeczących oficerom, królowi i wojnie. Żołnierzy, którzy uświadamiają sobie, że wojna to rzecz dobra jedynie dla panów i władców, ale nie dla prostego ludu.

---

Wyd. MON 1959, wyd. drugie.
*) Wł. Rymkiewicz „Noc saska"

FILM MIESIĄCA:

# „Bulwar zachodzącego słońca"

Powyższy fotos — to jedna ze scen filmu radzieckiego „Tomasz Gordiejew". Reżyserem tego filmu jest Marek Doński, który niejako specjalizuje się w przeróbkach z twórczości Maksyma Gorkiego. W Polsce widzieliśmy już kilka adaptacji Dońskiego: „Dzieciństwo", „Wśród ludzi", „Moje uniwersytety", „Matka". Czekamy z kolei — na „Tomasza Gordiejewa".

Oto film, który będzie się podobał wszystkim: widzów-smakoszy porwie w „Bulwarze" znakomita robota reżysera i aktorów; zwolennicy filmów „z tezą" — odczytają tu ostrą krytykę stosunków w hollywoodzkiej fabryce snów; wreszcie przeciętni widzowie, szukający w kinie tylko anegdoty, ciekawej akcji — otrzymują od Wildera wartkie, sensacyjne, frapujące opowiadanie. Dodajmy jeszcze do tej listy starsze pokolenie kinomanów, któremu „Bulwar zachodzącego słońca" przypomni kilku znakomitych aktorów filmu niemego — Glorię Swanson, Ericha von Stroheima, Buster Keatona.

„Bulwar zachodzącego słońca" powstał w roku 1949 — dwadzieścia lat po tem, jak na ekranach obu półkul odniosła swój wielki triumf aktorka Gloria Swanson, w ostatnim filmie reżyserowanym przez Ericha von Stroheima — „Królowa Kelly". Wielki przewrót w kinematografii — wprowadzenie dźwięku — przekreślił świetne kariery aktorki i reżysera podobnie, jak setkom innych aktorów i reżyserów na całym świecie. Odtrąceni, nierzadko zrujnowani — zaczęli żyć w odosobnieniu, tym cięższym, jeśli nie potrafili zapomnieć o czasach, gdy byli sławni i uwielbiani.

Podobnie właśnie bohaterka „Bulwaru", Norma Desmond — żyje samotnie w swej zdewastowanej willi, mając jako jedynego towarzysza i przyjaciela — lokaja, własnego ex-męża, byłego reżysera filmowego. Nagle — w ów zamknięty świat samotnych bankrutów wdziera się intruz, młody dziennikarz-scenarzysta. Oto okazja jedyna, która się nigdy nie powtórzy. Norma czuje się wreszcie komu: potrzebna, może komuś pomóc — a w zamian za to uzyskuje szansę powrotu na ekran, odzyskania straconej sławy.

W finale opowieści Norma przeżyje wreszcie swój ostatni, paradoksalny triumf, gdy znajdzie się wreszcie w świetle reflektorów i przed obiektywami kamer filmowych. Gorzki sukces — bo u podnóża schodów, na których obłąkana aktorka gra swoją wielką scenę — zostanie aresztowana za zabójstwo młodego przyjaciela.

**BILLY WILDER:**

Wiele da się powiedzieć dobrego o czołowych amerykańskich reżyserach — że są arcybiegli w rzemiośle filmowym, że posiedli sztukę żywej, wartkiej narracji, że potrafią świetnie wykorzystać talenty aktorów, że wreszcie nierzadko mają ambicje poruszania ważnych problemów społecznych. To wszystko odnosi się także do Billy Wildera, ale jeszcze niepełnie określa jego osobowość. Wilder należy do najbardziej subtelnych reżyserów, potrafi ciekawie opowiadać — lecz opowiadać o sprawach trudnych i zawikłanych.

„Bulwar" jest tylko pozornie krytyką Hollywood, w rzeczywistości rozważania Wildera sięgają głębiej — do problemów samotności człowieka, jego zachowania się wobec faktu utraty własnego znaczenia, wartości, sławy. Przypomnijmy — do podobnych refleksji skłaniał inny wielki film Wildera, „Stracony weekend". I tam — problem pijaństwa był tylko pretekstem do analizy upadku osobowości ludzkiej.

Billy Wilder urodził się w 1906 roku w Wiedniu i pracował tam początkowo jako dziennikarz sportowy. Po wyjeździe do Berlina próbuje pisać scenariusze („Emil i detektywi" wg Kästnera, „Ludzie w niedzielę" — reż. Siodmak). Z Berlina, wobec narastającej fali faszyzmu — Wilder wyjeżdża w r. 1932 do Francji, a w rok później jest już w Hollywood. Tu początkowo pisze scenariusze, a w czasie ostatniej wojny jest już i scenarzystą i reżyserem. Najsłynniejszy film z tego okresu — to „Pięć grobów od Kairu" ze Stroheimem w roli marszałka Rommla. Tuż po wojnie Wilder otrzymuje 2 „Oscary" za scenariusz i reżyserię „Straconego weekendu". „Bulwar" otrzymał również 2 „Oscary" — za scenariusz i kierownictwo artystyczne. Po roku 1950 nie wszystkie filmy Wildera zyskują tak przychylną ocenę, do najlepszych zaliczany jest „Wielki karnawał" — historia dziennikarza, który dla odzyskania sławy prowokuje śmierć przyjaciela, „Stalag 17" — rzecz o obozie jenieckim oraz „Świadek oskarżenia" wg sztuki Agaty Christie, gdzie Wilder stworzył „kryminał" na miarę Hitchcocka.

**GLORIA SWANSON:**

Powrót Glorii Swanson był zaskoczeniem, nie tylko ze względu na jej wieloletnią nieobecność na ekranie. Przede wszystkim zdumiała wszystkich wstrząsającą interpretacją roli Normy. Warto wskazać choćby dwa znakomite popisy Swanson w „Bulwarze": jej parodię Chaplina i końcową scenę na schodach (której inscenizacja jest n. b. aluzją do finałowej sceny niemego filmu „Królowa Kelly").

G. Swanson w roku premiery „Bulwaru" miała 50 lat. Karierę aktorską zaczęła w niemych filmach Cecil de Millea. Największy sukces przyniosły jej filmy „Złota klatka", „Madame Sans Gene", „Co za wdówka!" Od r. 1930 do 1949 nie występowała w filmie, jeśli nie liczyć dorywczego epizodu w r. 1941.

**ERICH VON STROHEIM:**

Urodził się w 1885 r., zmarł w 1958. Z pochodzenia Austriak — uważany jest za jednego z najwybitniejszych reżyserów kina niemego. „Szalone kobiety", „Chciwość", „Marsz weselny", „Wesoła wdówka" — to klasyczne już pozycje, wyświetlane w klubach filmowych na całym świecie. Po roku 1930 przestał być reżyserem, natomiast z ogromnym powodzeniem — i często — występował jako aktor charakterystyczny w filmach francuskich (lata 1932—40, najlepsza rola w „Towarzyszach broni" Renoira — i po roku 1953) — oraz w filmach amerykańskich (lata 1940—53).

Opracował J. W.

# ZESPOŁY FILMOWE rozmawiają z „Mieszanką"

## START

— Czy niezwykłe powodzenie „Awantury o Basię" — wpłynęło jakoś na zwiększenie honorarium dla autorów filmu? — zapytuję kierownika „Startu", Mieczysława Wajnbergera.

— *Tantiemy otrzymuje tylko autor scenariusza. Przez ZAIKS. Dla filmowców tantiemy nie są jeszcze zatwierdzone. Ale sądzę, że już wkrótce sprawa ta będzie właściwie załatwiona. Chcę natomiast powiedzieć, że „Awantura o Basię" ujawniła nam ciekawą gwiazdeczkę — Małgosię Piekarską. Dla niej właśnie zamierzamy nakręcić w najbliższym czasie nowy film.*

— A co poza tym?

— *W pierwszym kwartale powinno się ukazać na ekranie „Tysiąc talarów", reżyserii: Stanisława Wohla, który napisał scenariusz z Edmundem Niziurskim. A więc — jak się pan zapewne domyśla — będzie to film przygodowy. Nie wcześniej też ukażą się „Spotkania w mroku" Wandy Jakubowskiej (nasza pierwsza koprodukcja z „Defą"). A w połowie sześćdziesiątego roku wypuścimy „Waleta pikowego" Tadeusza Chmielewskiego. Pomysł do tego filmu został zaczerpnięty z książki czeskiego autora.*

— Wymienione filmy, z wyjątkiem „Spotkań w mroku", będą, zdaje się, należały do lżejszego gatunku...

— *Myślimy także o filmach uwzględniających problematykę współczesną, o filmach w jakiś sposób rozstrzygających nurtujące społeczeństwo kwestie. W tej chwili mogę tylko powiedzieć, że zamierzamy przystąpić do realizacji filmu, który poruszać będzie zagadnienie pijaństwa. Pomysł — Stawińskiego.*

## KADR

„Kadr" — to niewątpliwie zespół o bardzo interesującym dorobku. Ponieważ kierownik zespołu, Ludwik Heger, przebywa akurat w Warszawie — rozmawiam z kierownikiem produkcji, Jerzym Rutowiczem.

— *Tu jest wykładnik naszych osiągnięć. — Pan Rutowicz wskazuje na pokrywające jedną ze ścian pokoju afisze, wyprodukowanych dotychczas w „Kadrze" filmów. Wśród nich — „Kanał", „Cień", „Eroica", „Ostatni dzień lata", „Popiół i diament", „Lotna"... Do tych tytułów nie trzeba już nic dodawać.*

— *Jeśli chodzi o ciąg dalszy* — informuje p. Rutowicz — *ukażą się wkrótce trzy nowe filmy: „Nikt nie woła" Kazimierza Kutza, „Niewinni czarodzieje" Andrzeja Wajdy i „Do widzenia do jutra" Janusza Morgensterna. Na razie kończymy jeszcze wprowadzenie do nich niewielkich poprawek. Natomiast dalsze tytuły są jeszcze „na papierze". W tej chwili zaledwie dwa gotowe scenariusze czekają na zatwierdzenie, trzeci przygotowuje Dygat. Brak scenariuszy jest ciągłą troską wszystkich zespołów, a zwłaszcza scenariuszy o tematyce współczesnej.*

— Czy sądzi Pan, że na tę chorobę jest jakieś lekarstwo?

— *Chyba tak. Przede wszystkim, współpracą z filmem trzeba zainteresować większe grono pisarzy. A to jest możliwe przez podniesienie zbyt niskich jak dotychczas stawek za scenariusz. Wydaje mi się poza tym, że konieczne jest większe zaufanie do scenariuszy już napisanych.*

Rozmawiał:

*TADEUSZ ŻAKOWIECKI*

MARIE JOSE NAT jest nową gwiazdą filmu francuskiego. Była partnerką Jean Gabina w ciekawym filmie „Ulica prerii".

# Od barci i miodosytni... ...do lotów kosmicznych

Od czasu do czasu oglądamy te filmy wyświetlane jako dodatki — przeważnie dzięki tak zwanej dobrej woli kierowników kin... Ostatnio zaś na Festiwalu Filmów Krótkometrażowych mogliśmy bliżej zapoznać się nie tylko z najlepszymi filmami tej wytwórni, ale również z ich twórcami — reżyserami i operatorami. Mowa o łódzkiej Wytwórni Filmów Oświatowych, jedynej tego rodzaju w Polsce, która produkuje rocznie aż około 100 filmów. Przedstawiciel „Odgłosów" złożył wizytę w WFO panu Julianowi Tuwimowi — naczelnemu redaktorowi Biura Studiów i Popularyzacji Filmów. Celem tej wizyty było zapoznanie się z planami realizacji filmów oświatowych na rok 1960.

**O ŻYCIU I ZDROWIU...**

Tematykę filmów realizowanych przez WFO można zgrupować w kilku zasadniczych działach. Pewnego rodzaju specjalnością tematyczną tej Wytwórni jest biologia. Tematy z tego zakresu wiedzy opracowywane są i konsultowane przez naukowców, m. in. z Akademii Medycznej oraz Instytutu Biologii Doświadczalnej im. Nęckiego. Wymienić tu należy choćby prof dr Bagińskiego, dr Halicza, stałych współpracowników naukowych WFO. Spośród filmowców specjalizują się w biologii reżyserzy i operatorzy: Marczak, Kokosz, Bączyński, Puchalski.

A oto kilka przykładowych tytułów z zakresu biologii: „Porosty", „Ruch w komórce", „Myszy", „Flora i fauna w Puszczy Białowieskiej". Oprócz tego zaplanowano jeszcze szereg filmów o charakterze wybitnie specjalistycznym dla określonych środowisk naukowych. Przewidziano też kilka filmów o problemach oświaty sanitarnej: „Alkoholizm wśród młodzieży", „Bezbolesne porody", „Zmęczenie — choroba XX wieku i in.".

Filmy o tematyce biologicznej mają już wyrobioną dobrą sławę poza granicami kraju. Dowodem tego tą listy przychodzące do Wytwórni od licznych towarzystw naukowych. Ostatnio na przykład materiałami filmowymi WFO zainteresowało się Brytyjskie Naukowe Towarzystwo Królewskie, pragnące wykorzystać polskie filmy przy opracowywaniu własnego filmu z zakresu nauk przyrodniczych.

**DLA MŁODZIEŻY...**

Kierownictwo WFO wychodzi naprzeciw łódzkiemu szkolnictwu, organizując projekcje swoich filmów i dyskusje nad tymi filmami. Oprócz tak zwanych filmów szkolnych, produkowanych na zamówienie Ministerstwa Oświaty, Wytwórnia realizuje filmy na zlecenie Komendy Głównej ZHP. Będą one poruszać sprawy sportu, zabaw młodzieżowych i obozów letnich. Tematyką młodzieżową zajmują się realizatorzy: Fitek, Żukowska i Mościcki.

**O SZTUCE I HISTORII...**

Mniej pokaźnie pod względem ilości, przedstawia się plan realizacji filmów o sztuce. Zrealizowane będą m. in. filmy o „Muzeum Wojska Polskiego", „ABC architektury", filmy o malarzach Chełmońskim i Gierymskim. Obok tego realizować się będzie tematy historyczne. Wśród nich — „600-lecie Uniwersytetu Jagiellońskiego", „Polska za pierwszych Piastów", „Szlaki bojowe powstańców śląskich", „Od barci do miodosytni".

**DLA TURYSTÓW...**

WFO pragnie choć w części pokryć zapotrzebowanie, jakie istnieje na filmy turystyczno-krajoznawcze o naszym kraju. Filmów tych domaga się między innymi Polonia zagraniczna. Na ekrany w roku 1960 winny więc wejść filmy: „Ziemia Cieszyńska", „Żelazowa Wola", „Ziemia Lubuska", film o zabytkach jury częstochowsko-wieluńskiej pt. „Szlakiem orlich gniazd", „Gdynia", „Łódź", „Zakopane i okolice" i inne, których wymienianie zajęłoby wiele miejsca i chyba znużyło czytelników.

Wspomnieć więc tylko należy, że w 1960 r. w planie WFO znajdą się tematy z zakresu folkloru i etnografii, chemii i fizyki, no i oczywiście nauki ostatnio bardzo „modnej" — astronautyki: „Księżyc", „Problemy lotów kosmicznych".

Notował

**A. NIEŚMIAŁEK**